

# ODRODZENIE

## TYGODNIK

Rok III

Kraków, dnia 8 grudnia 1946 r.

Nr 49 (106)

JULIAN PRZYBÓŚ

## U czeskich i słowackich poetów

Podróż po obcym kraju — tak jak rozchyła nieznane krajobrazy i otwiera wnętrza zabytkowych zamków — pisarzowi, człowiekowi słowa, odsłania uroki cudzego języka. Podróżuje się nie tylko od miasta do miasta, ale i od dźwięku obcych słów do innej, niż w ojczystej mowie, melodii poematu. Wędruje nie tylko oko, podróżuje także ucho. Zanurzenie się w żywą, mówioną obcą mowę zaliczam do największych rozkoszy podróżniczych. Taką kąpiel słuchowa — ożywia, uwrażliwia na nowo na możliwości dźwiękowe wyrazu w własnym języku. Dopiero na obcym tle fonetycznym poznaje się wyraźniej zasobność muzyczną swojej mowy.

Stoję przed witrzyną wielkiej księgarni na Václavském Naměstí i podziwiam pomyslową reklamę świeżo wyszłej, okazałej książki. Gruby, zbytkownie wydany tom, zawieszony na jedwabnych sznurach, pięknym krojem czcionek rzuca w oczy potężny tytuł dzieła: Chrám a tvrz — Pawla Eisnera. Przywołuję na pomoc swoją skromną wiedzę polonistyczną i autor pierwszego naszego traktatu ortograficznego, Jakub Parkoszowicz z XV w., przypominając mi, że owa kreska nad samogłoską oznacza jej długość, którą nasz język zatracił przed czterema wiekami; czytam więc: Chraam a — co? Jak wymówić tę zbitkę czterech spółgłosek? Któryś z kolegów czyta to sobie po polsku (nie słyszał nic o Parkoszowicu): twarz! Lecz obudzony we mnie uczeń profesora Łosia każe mi dopisać w tym słowie pod r kółeczko, oznaczające zgłoskotwórczość, i pracując mocno językiem i wargami, zaciskając pięści dla skupienia potrzebnej energii, wymawiam to czeskie słowo, twarde zaiste jak granit: tvrz — twierdza.

Księga Eisnera, świetnego stylisty i tłumacza (przełożył m. in. „Sonety krymskie” Mickiewicza), poświęcona jest językowi czeskiemu, który autor nazywa „świętynią i twierdzą”. Istotnie, słuch polonisty, obeznanego z naszymi średniowiecznymi zabytkami językowymi, przyjmując współczesną mowę czeską jak zastępną staropolszczyznę, jak zachowaną warownię sprzed pół tysiąca lat. Łudzące podobieństwo do języka „Psalterza Floriańskiego” i bawi — jakbyśmy słyszeli mowę naszego dziecięctwa kulturalnego — i nastraja uroczystą powagą. Język czeski, w istocie mniej dźwięczny, „twardszy” od polskiego, „najtwardszy” ze słowiańskich, równoważy swoją szorstkością iłoczasem i stałym akcen-

tem na pierwszej zgłosce. Ten akcent daje zdaniu jakąś retoryczną intonację, tok deklamacyjny.

Najsilniejszych wzruszeń w tej podróży słuchu, czułego na harmonię mowy, doznałem na wieczorze literackim w pałacu pisarzy czeskich w Dobrzyszu. Artysta dramatyczny, którego nazwiska, niestety, nie zanotowałem, czytał najnowszy przekład „Anhellego” dokonany przez J. Matouša. Ostatnie rozdziały poematu, tak bardzo osłuchanego, że jego wersety toną w monotonii — nagle, w mowie biblii czeskiej zabrzmiały potęgą gromów i błogosławieństw. Jakby odległość czasowa, która język księdza Wujka stroi nam w powagę i dostojność, zdwoiła swój wymiar i swoją moc, potęgując wyraz języka naszej biblii do jakiejś skamieniałej pramowy legend i mitów

„Aj, náhle se vynořil z plamenné záře rytíř na koni . . .”  
„A v ruce rytířově byla korouhev a na ní hořela tř: ohnivá písmera“.

Wizja Słowackiego płonęła na nowo w tych staroczeskich dźwiękach, jakby ów rycerz — w naszych oczach — wycwałował z płomiennej fantazji poety i leciał z hukem i grzmiotem. Byliśmy wstrząśnięci siłą tej wizji na nowo wcielonej i zmartwychwstałej w starej mowie czeskiej.

Mniej dostojny dla ucha Polaka terażniejszy język czeski dźwięczy w wierszach pięknie. Jaka jest współczesna poezja czeska? Na to pytanie każdy Czech odpowiada, że spośród gatunków piśmiennictwa czeskiego — najlepsza, że poezja zawsze była i teraz jest najsilniejszą pozycją czeskiej literatury. Chętnie dałbym temu wiarę, gdyby nie fakt, że tak samo sądzi się prawie w każdym kraju. Dlaczego? Zapewne dlatego, że poezja jest, by tak rzec, esencją języka, streszczonym jego pięknem. Często nieprzetłumaczalna — czaruje przede wszystkim rodaków, umacniając ich w przekonaniu o swojej najlepszości. Cudzoziemiec ma wprawdzie skalę porównawczą, może przymierzyć swoją poezję do poziomu poezji kraju, w którym bawi, ale rzadko zna tajemnice obcego języka.

Nie śmiałbym o terażniejszej liryce czeskiej wyrokować, ale w literaturze czeskiej zainteresowała mnie przede wszystkim liryka. Słuchałem pilnie recytacji, przeczytałem sporo wierszy paru poetów uchodzących za wybitnych, mam więc wprawdzie ułamek, ale w tych ułamkach dość jasny obraz, by zaryzykować swoje przypuszczenia. Wybitny poeta — w jednym wierszu miesi się

cały, wystarczy zgłębić jeden wiersz, aby osądzić czy ma się do czynienia z wybitnym zjawiskiem poetyckim. Natomiast mniejsi poeci wymagają, by ich ocenić sprawiedliwie, rozle-



Franciszek Halas

głej lektury swoich tomów. Otwieram jeden z ofiarowanych tomików i czytam:

Taková voda  
zmučena voda voda žal  
jako ta voda  
co si v ní Pilát ruce umýval

Taková voda pada

To początek wiersza Franciszka Halasa pt. „Deszcz listopadowy”; skupiona, wielka siła liryczna. Jakkolwiek koniec utworu nie współdźwięczy z jego potężnym początkiem, wiersz przekonuje, że autor to poeta wybitny.

Halasa poznaliśmy na przyjęciu w poselstwie polskim i od razu przypadł mi do serca. Mojej skłonności do wredyzmu szczególnie spodobała się jego szczerłość i surowość sądów. Czytał jeden z przekładów moich wierszy i to ułatwiło nam zbliżenie. Ideały poetyckie Halasa wydały mi się bardzo bliskie. Chce, by jego liryka miała zwięzłość przyszłości, by była jak przysłowie rezultatem długiego i wielokrotnie sprawdzonego doświadczenia. Ekonomie wyrazu podkreślają w poezji Halasa wszyscy krytycy, a młodzi poeci podnoszą te cechy jego stylu do godności hasła. Istotnie, nowa liryka czeska daleka jest od wielosłownia, choć to, co się w niej uważa za zaletę zwięzłości, ja uznałbym jeszcze za luźność i pewien zbytek dowolności.

Halas jest synem robotnika, miał trudną młodość, nie posiada wyższego wykształcenia, wszystko zawdzięcza sobie. Jest dziś obarczony godnością prezesa syndykatu literatów czeskich i stoi na czele departamentu literatury w ministerstwie. Obie te funkcje godzi bez sprzeciwu ze strony syndykatu; nikt z pisarzy czeskich nie obawia się biurokratyzowania literatury. Halas nie cierpi „literatury” w tym ujemnym znaczeniu, jakie się jej przypisuje od czasu wiersza Verlaine’a o sztuce poetyckiej: „Oni sądzą, że najważniejszą rzeczą jest ich pisanie i światła poza nim nie widzą, a najważniejsze to — aby dzieci miały co jeść”.

Tematy dawniejszej, przedwojennej liryki Halasa są mi obce: baudelairovskie połączenie erotyki z motywem śmierci, melancholia jakby jeszcze zeszlowieczna. Dopiero w tomie wierszy z okresu monarchijskiego — i to jest zdumiewające — wyzwoił się poeta z obsesji ponurych nastrojów, dał wyraz wierze patrio-

tycznej, stał się wyrazem uczuć zbiorowości. Zbiorek ten pt. „Torso nadęje” był w dobie protektoratu czymś nie tylko poetyckim, stał się umocnieniem niezgasłej nadziei. Inny tom „Ladění” przypomina niekiedy dziecięcą czułą lirykę Czechowicza, lecz Halas, choć dba w tym „muzycznym” zbiorze („Ladění” znaczy: strojenie instrumentu muzycznego) o dźwięczność wiersza i nie gardzi igraszkami onomatopei, nie przesadza w „instrumentalizacji” i nie stylizuje wiersza na piosenkę.

Mistrzowskie władanie językiem poetyckim ujawnił naszym uszom przekład „Powieści Wajdeloty” czytany na wieczorze w Dobrzyszu. Heksametrem toczył się w rytmach Halasa kolejnymi wyślubionymi mickiewiczowskim słowem tak zwrotnie, jakbym słuchał nie tłumacza, lecz mocnego pogłosu, niegłuchego echa oryginału. Iłoczas i — z natury swojej deklamacyjnej — przycisk czeski stroił ten przekład na lirze dźwięczącej podniosłe i patetycznie. Recytacja przekładu Halasa była drugim wzniesieniem niezapomnianego wieczoru, jaki przeżyliśmy w gościnie u kolegów czeskich.

Halas dokonał w czasie wojny ogromnego dzieła: przetłumaczył „Grażynę”, „Konrada Wallenroda” i wszystkie części „Dziadów”, a ze Słowackiego „Balladynę” i „Lilję Wenedę”. W poezji naszych romantyków szukał ostoi moralnej w latach klęski. Jest oczarowany zwłaszcza językiem poetyckim Słowackiego, którego umieszcza na szczycie naszego Parnasu.

„Myśmy mieli Svatopluka Čecha, ale...” — tu skrzywił się i zaśmiał. Może za surowo sądzi czeskiego romantyka, skoro świetny znawca zarówno czeskiej jak i polskiej literatury, prof. Karel Krejčí, radził, żeby właśnie Svatopluka Čecha przyswoić językowi polskiemu.

Dwóch innych z trójki najwybitniejszych poetów czeskich poznałem w Dobrzyszu. „Czeski poeci są tłuści” — powiedział Halas, wskazując okazałego grubasa. Vítězslav Nezval, twórca „poetyzmu”, czeskiej odmiany surrealizmu, Obecnie ten buntownik poetycki jest szefem upaństwowionego filmu czeskiego i od swojej poetyckiej młodości odszedł daleko — ku statecznemu rymowaniu aktualno-patriotycznego poematu pt. „Historický obraz”. Poemat pisany tercyną o rymach leżących na sobie kończy się tak:

Už je konec ašich muk, je konec elegije  
gigantický orloj času na Hradčanech  
bije,  
narod žije, žije, žije, žije, žije, žije.

Ale słyszałem na przyjęciu u tłumaczki naszej prozy, pani Teigeovej, dawniejszy wiersz Nezvala Deklamowała recytatorka, której sposób raczej przeszkadzał mojemu odczuwaniu poetyckiego słowa, a jednak wiersz ten, poświęcony matce, dość mi się podobał. O Nezvalu twierdzą wszyscy zgodnie, że najlepsze utwory napisał w okresie surrealizmu. Teraz przeżywa swój schyłek poetycki.

Surrealizm był w Czechach bardzo modny przed wojną, obok nurtu poezji społecznej był to najsilniejszy ruch literacki. Dzisiaj nie ma jednolitej organizacji surrealistów, nie ma pisma, które by wszystkich skupiało, lecz wpływy ich są w poezji wyraźne, a w malarstwie liczni są producenci szpetoty surrealistycznej. Można jeszcze oglądać obrazy o motywach znanym do zdumienia: brzeg morski z odrąbaną głową i kawałkiem kolumny klasycznej.

Przedwojenna Czechosłowacja wpatrzona była we Francję. Nie ma chyba w Europie kraju, w którym by znajomość literatury francuskiej była tak dokładna jak w Czechach. Język francuski był w szkołach przedmiotem obowiązkowym, pokolenie przedmonarchijskie bezgranicznie wierzyło we wszystko co galickie. Czesi tłumaczą wszystko. Nezval przełożył w całości poetę tak hermetycznego jak Mallarmé, istnieją przekłady Valéry’ego i Apollinaire’a, tłumaczono wiele Eluarda i Bretona. Mimo że kult Francji zalał się boleśnie w okresie Monachium, jeszcze dziś żywe zainteresowanie surrealizmem wyraża się w licznych artykułach i rozprawach. O najnowszych jego przemianach czytać można obszernie studium Karola Teige w ostatnim numerze czasopisma „Kvart”.

Ale w zdumienie wprawiała mnie wiadomość, że w Czechach ukazały się przed wojną aż dwa wydania Lautréamonta. Tyle, ile w Paryżu. „Pieśni Maldorora” to dziwadło do niczego niepodobne, wydobyte z zapomnienia przez surrealistów. Lautréamont jest pozycją, nawet we Francji, literacko wątpliwą. I oto taki egzemplarz dziwactwa znalazł w Czechach tyle zainteresowania, co w swojej ojczyźnie.

Dowiedziałem się o tym w Bratysławie od nadrealistów słowackich, którzy stanowią tam najliczniejszą i najruchliwszą grupę poetycką. Przywódca ich, Fabry, zdradził mi, że nie zna wprawdzie dostatecznie języka francuskiego, ale to nic nie szkodzi: surrealizm przejęli Słowacy od Czechów, czytając manifesty Breto-



Jerzy Andrzejewski, Franciszek Halas i Julian Przybóś



Jerzy Andrzejewski i Jan Wiktor w towarzystwie tłumaczki Heleny Teigeovej



JÓZEF SIERADZKI

Romania Libera

## W drodze do Bukaresztu

Stolicę zostawiliśmy w śniegu, a nad Boguminem i Morawską Ostrawą stało słońce. Może ono sprawiło, że obraz Czechosłowacji tonął w jasnych kolorach. Na stacjach wszędzie nienaganna czystość. Pola uprawione starannie, drogi wyłane asfaltem, równe rzędy owocowych drzew świecą pobielonymi pniami. Nie ma brudnych chłopców handlujących papierosami, a nieletnie dziewczęta nie biegają z towarami po peronach. Od Zebrzydowic do Parkan na Słowacznynie, na granicy węgierskiej, nie można zobaczyć przy torze kolejowym ani jednej chaty wiejskiej krytej słomą. Nie ma sielanki ze strzechą i gnojówką w obejściu. Dachówka, gonty, blacha, eternit. Praktyczni Czesi obchodzą się bez akcesoriów sielskiej romantyki, podobnie jak w polityce obywają się bez romantyzmu.

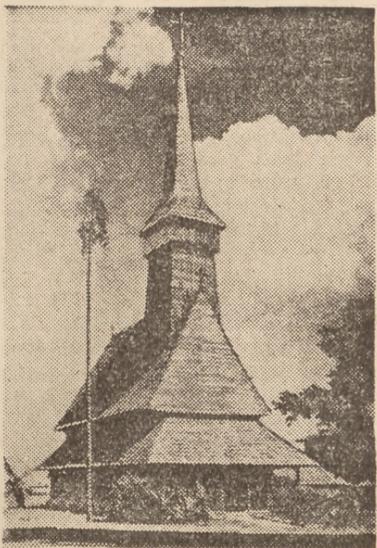
Nie śni się im Brzetysław Achilles, który tęsknił do podbojów i złupił Gniezno, ani Przemysław Ottokar z wielkimi planami, pogrzebanymi na morawskich polach. Ani Wacław II, który mając czeską koronę sięgał po tron Polski i Węgier. Ideowy fałszerz dokumentów Hanka nie znalazłby dziś zrozumienia nad Weltawą, gdzie nikt nie choruje na mocarstwo, chociaż z archiwów historii można by niejedno wydobyć bez podrabiania testamentu Przemysława.

Czesi pracują. Właśnie kończą jesienną orkę. Woły chodzą w jarzmie, perszerony błyszczą miedzianym obiciem uprząży. Ani śladu zniszczeń, jak gdyby to nie była Europa. Sztywne dekle kolejarzy, uniformy zawiadowców salutujących pociąg na małych stacjach, dobrze skrojone garnitury mężczyzn w przedziale, eleganckie, niemal wytworne suknie pań. dostatnie walizy w siatkach — wzmagają wrażenie zasobności i spokoju. Blondyna z naprzeciwna rozcina gruby tom powieści: Louise Bromfield „Kdyż nastaly deště“.

Bronię się przed uczuciem zazdrości. Nie o gmachy, neony i wystawy na placu św. Wacława w Pradze. O to, co wspólne kelnerowi w kolejowej restauracji na Wilsonowo nadrazi, gdy nieustępliwie żąda „listków“, i robotnikowi w niebieskiej bluzie i dziennikarzowi poznaniem przygodnie w restauracji u Schroubka. Nasamprzód udowodnił mi, że muszą mieć Cieszyńskie. Potem opowiadał o fabryce syntetycznej benzyny, którą pozostawili im Niemcy. Za okupacji pracowało w niej 40 000 robotników, dziś, po częściowym zniszczeniu, pracuje 15 000. Po rekonstrukcji produkcja przewyższy krajowe zapotrzebowanie. Józef Stalin rzekł się wspaniałomyślnie zdobywcy wojennej na rzecz Czechosłowacji. Zniszczone bloki zakładów są forsownie odbudowywane. Dziennikarz, Słowak z Bratysławy, jest przejęty sprawą, jak gospodarz dumny z własnego dorobku.

Cóż mówić o Czechu z Pardubic czy Kolina?

W Parkanach nie wolno wychodzić na stację, ani przed rewizją celną, ani po niej. Oaza kończy się naraz jak nożem uciął. Wjeżdżamy do kraju, który przegrał wojnę. Złamany słup telegraficzny, zerwane druty, niezaopatrzone drzewka, dziurawe dachy domów, ślady kul na murach. W granicznym Sob góruje nad miastem budowla w kształcie bazyliki. W jej kopule widoczna jest



Wiejska cerkiewka. Charakterystyczna architektura — wiek XVII

z daleka ogromna wyrwa. Dwa zniszczone mosty. Robotnicy ubrani nędźnie i niechlujnie dopraszają się papierosów. Puste wille nad ciemną, siną rzeką, rdzawe mury domów, których nikt nie pobiera, jak nikt nie podwiązuje krzaków winogrodu. Niepodcięte, ścielą się po rozczochranych polach, gdy w winnicach Słowaczniny krzewy czekają nowej wiosny w równych szeregach.

Konduktorowi węgierskiemu w poplamionym mundurze trzęsą się ręce, gdy inkasuje dolary za przejazd przez Węgry. Na wystawionych biletach figuruje cena w forintach. Ponury rewident nie znalazł w naszych paszportach pieczęci alianckiej komisji kontrolnej i orzeka obcesowo: „Zurück!“

Ale sprawę wyjaśnia spokojnie, szybko i pomyślnie sowiecki lejtnant, który odręcznie wpisuje potrzebną formułę.

Rewident sześciu nie wiadomo kiedy.

W towarowych wagonach pociągu, który mijamy, pełno podróżnych. W bitej, cesarskiej szosie wyboje i bajora. Nad czarną, tłustą ziemią ciemnogrnatowe góry, powyżej seledynowy pas nieba, a wysoko błękit bez jednej chmurki, z zapadającym zmrokiem coraz głębszy.

W Budapeszcie ciemno. Wielka hala dworca jest też skąpo oświetlona. Na nasz pociąg zwala się naraz ciżba. Jakiś nowy pasażer stoczył krótką wałkę o miejsce z młodą kobietą i odniósł zwycięstwo. Na sąsiednim torze stał osobowy pociąg. Jak rój pszczoł oblepia gałąź, tak podróżni obsiedli stopnie, bufory i przejścia. Zaludnienie pociągów jest odwrotnie proporcjonalne do zamożności kraju — jakby powiedział Diderot (gdyby jechał z nami pociągiem).

Na dworcu nie dostanie nic prócz herbaty bez cukru. Ale chłopcy słowaccy w naszym przedziale wydobywają z walizki biały chleb i kiełbasę, a na deser kiście winogron.

Mój najbliższy sąsiad, z okropnym wytrzeszczem oczu, jedzie do Bekecsabo, tymczasem zaś z gotowością wprowadza mnie w sprawy węgierskie. Jego zdaniem znać poprawę, zwłaszcza po reformie waluty. Mój sąsiad jest kupcem i boczy się na podatki. Rząd premiera Nagy zamierza nałożyć na prywatne przedsiębiorstwa handlowe 6% dochodu brutto.

— To bardzo dużo — przytakuje młody Żyd węgierski, również kupiec.

Dozwolony dochód maksymalny wynosi 9% obrotu. Najwyższe uposażenie 1500 forintów. 12 forintów = 1 dolar. Czarnej giełdy pieniężnej nie ma, spekulację ściga się drakańskimi przepisami, aż do kary śmierci. Za dziesięć halerzy pobranych ponad wyznaczoną cenę dają trzy lata więzienia.

Właściciel składu skór, Węgier, mówi z przejęciem o wysiedlaniu Węgrów ze Słowacji (200 000 głów), z rezerwą o premierze (podatki!), dyplomatycznie o Transylwanii, z nietajoną niechęcią o reparacjach wojennych.

— Kolaborantów było u was dużo?

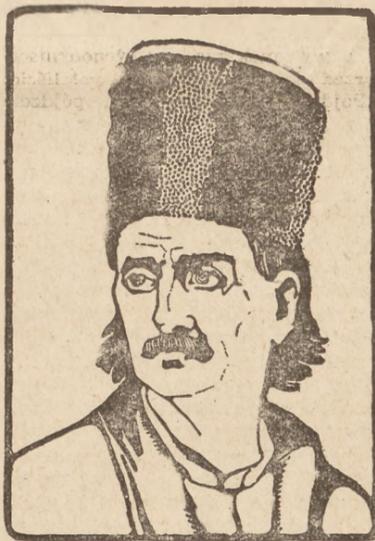
— Prawie wszyscy.

Przemówił się i milknie.

Kolejny Żyd opowiada o swoich przejściach wojennych. Teraz wrócił do Bekecsabo. Jest tam pomnik żydowskich ofiar Oświęcimia. Na odsłonięciu było wielu Węgrów, ale brakło przedstawiciela katolickiego duchowieństwa. Prymas Minszenti wydał za to list pasterski wzywający do łagodności — wobec kolaborantów.

Granica z Rumunią jest w Lökös-házo. (Trzy doby temu opuściliśmy Warszawę). Rumuńskie Piotrowice noszą nazwę Curtici.

Nadprogramowo spędzamy tu dwie doby. Interwencja p. Lucjana Vlaicu, urzędnika z prezydium rady ministrów w Bukareszcie, z którym



TUDOR VLADIMIRESCU  
Dywidła jego imienia, sformowana w ZSRR, brała udział w wyzwoleniu Rumunii

jedziemy od samej Warszawy, nie odnosi skutku. Brak nam rumuńskiej wizy wjazdowej i klauzuli międzysojuszniczej komisji, a graniczna placówka nie otrzymała telegraficznych dyspozycji z Bukare-



Jeden z plakatów wyborczych ze znakiem słońca, symbolem Bloku Demokratycznego



Prządki rumuńskie w strojach ludowych

sztu. Musimy więc wysiadać z „rapidu“. Następny będzie za 48 godzin.

Pan Vlaicu solidarnie przerywa podróż. Wciąż telefonuje do Bukaresztu i jeździ tam i z powrotem do Aradu.

Tymczasem poznajemy Curtici. Rozmawiam z chłopami o polityce i gospodarstwie. Młody parobczak, rodem z Constanzy, jest zwolennikiem Maniu, a w dłuższej rozmowie zdradza sympatie dla Codreanu.

— Przecież to był pacholek Hitlera!

Maniasta nie jest tym wcale przerażony.

Jak widać partytura wszędzie jest jednakowa.

Gdyby nie przymusowy pobyt, dni spędzone w Curtici miałyby urok. Pożytek z nich może być nie mniejszy niż z oficjalnych wycieczek organizowanych dla gości. Co krok rodzajowe typy i obrazki. Bojarzy rumuńscy dbali sumiennie o ruralizm, w którym można się kapać do woli. Są brudne chałupy, jest błoto po kolana, są pastuchy w kozuchach baranich włosom na wierzch. Jak żywe stogi siana, jest wiejska biedota.

Na kwaterze, którą zajmujemy na jedną noc, jest furca, nasz kołowrotek. Foc, po naszymu ogień, rozpała się popiołem polanym naftą. Za opał służą kaczany kukurydzy. Pan Joan Balas, „Amerykanin“, reemigrant z Detroit i właściciel schludnego domu zajezdnego, też robi foc z kaczanów.

Złożył nieco gotówki pracując u Henry Forda i wróciwszy do ojczysty kupił posesję. Jak Galicja dostarczała Balcerów do Brazylii, tak Transylwania, również niegdyś w składzie monarchii austriacko-węgierskiej, wysyłała Balasów do Detroit. Stary Joan z Curtici przywiozł zza oceanu prócz oszczędności znajomość piggin-english i niektóre nawyczki cywilizacji Nowego Świata.

Jak będzie głosował — nie chce wyjawiać.

Rankiem był w miasteczku targ, dużo furmanek, gromady dzieci i zgromadzenie przedwyborcze. Upięknęło ono spokojnie. W sali jakby naszego domu ludowego tłoczyli się chłopcy i kobiety. Z kobiałki na ramieniu wysterczała w każdej niemal głowa gęsi.

Na murach domków i płotów afisze i slogany wyborcze. Wszędzie znak słońca, symbol bloku partii demokratycznych. Jest również znak

wyborczy dra Maniu: żrenica oka. Po wyborach, na olbrzymim mitingu zwycięstwa na Piazza Nationi w stolicy, niesiono transparent z rysunkiem oka, z którego spadały rzęsy łzy.

Votaj! Blocul Partidelor Demokrate — wzywają afisze świetlne, wywieszki na stacjach kolejowych, małe naklejki, nadruki na papierosach, napisy na chlebie, reklama na pudełkach zapalek. Votaj! soarele — głosujcie na słońce.

Do miasteczka dotarł też plakat z tekstem pełnym realiów historycznych. Już w 1784 r. podburzał miejscowy jakobin Horia plebejskie masy: „niech więcej nie będzie szlachty“. Uczył Rumunów, że „majątki trzeba rozdzielić między chłopów“. Tudor Vladimirescu z Olteonii, syn chłopca, Bartosz Głowacki w skali Kościuszki, wódz powstania ludowego w 1821 r., głosił: „ojczyzna to naród a nie klika drapieżców“. Nie bez kozery budził „Domnul Tudor“ trwogę wśród bojarów, aż uległ podstępny pandurom księcia Ypsilanti. Obóz postępu w Rumunii wznawia też sentencje historyka Nicolae Balcescu (1851) i Simiona Barnuțina z doby Wiosny Ludów.

Po Curtici chodziłem także nocą. Nikt nikogo nie napada, nikt się niczego nie boi. Wcześni przechodnie i śpieszący na stację mijają nas ze zwyczajowym pozdrowieniem. Wymawia je oficer wchodząc do restauracji, tragarz i chłopka w pięknie wyszywanej koszuli.

Doskonałe warunki bezpieczeństwa poznaliśmy również w Bukareszcie, na peryferiach, w podmiejskich alejach nad jeziorem, gdzie krążyliśmy nocą autem i odbywali późną godziną spaceru.

W tej części Bałkanów jest spokój. Opowiadali nam Bułgarzy i Jugosłowianie, że nie inaczej jest u nich. To samo widzieliśmy i u Węgrzech, nie mówiąc o Czechach. Narody wydobywają się z upadku, zdrowy instynkt życia zwycięża.

Nasze podziemie wzięło rekord. Urobiło ono Polskę smutną sławę kraju gerylasówki i zabójstw politycznych. Do aktualnej szkody dodano ponurą opinię, która przyjmuje się w świecie.

Koledzy z Bałkanów pytają z troską w głosie:

— Czy macie wciąż jeszcze bandy?

Nareszcie nadeszła zbawcza depecha. Otyły policjant przynosi tę wiadomość na naszą kwaterę. W nocy jest „rapid“. Na Arad, Alba Julia, Braszov, Predeal, Sinaja, Ploesti mknijemy już bez przeszkód do Bukaresztu.

Stanęliśmy w nim po pięciu dobach, sześciu rewizjach paszportowo-celnych i jednej przygodzie, minąwszy dwa państwa w pośrodku pomiędzy Rumunią i Polską. Pierwsza noc w Bukareszcie była ciepła jak u nas wczesną wiosną. Gdy obudziłem się o świcie w wytworonym hotelu „Athenee Palace“ — usłyszałem pianie koguta. Nim otrząsnąłem się ze snu, myślałem, że wciąż jeszcze jesteśmy w Curtici.

A koguty w Curtici pieją tak samo jak w Sochaczewie.

Józef Sieradzki

PAWEŁ KONRAD

# O temacie wojennym

W związku z uwagami o książce Wańkowicza „Bitwa o Monte Cassino”, zamieszczonymi w nr. 43 „Odrodzenia”, tak pisze z Poznania pewien żołnierz:

„...Może będzie Pan łaskaw porużyć na łamach „Odrodzenia” następującą sprawę. Mamy lekturę Wańkowicza „Bitwa o Monte Cassino”. Mamy książkę Ksawerego Pruszyńskiego „Droga wiodła przez Narvik”. Mamy St. Strumph - Wojtkiewicz „Sikorski i jego żołnierze”. Mamy lekturę wojenną Fiedlera, Meissnera i innych.

Jak na krótki okres powojenny mamy bogatą lekturę o żołnierzu, który swą kronikę pisał krwią na polach walki na Zachodzie. Nie mamy zaś lektury o żołnierzu, który „najkrótszą drogą” szedł do Polski, który wymaszerował na „Warszawską szosę” nie zбочyżąc z niej, ale doszedł od Smoleńska do Berlina. Na tej drodze szedł ramię w ramię z żołnierzem radzieckim. Przyjaźń narodu polskiego z narodami radzieckimi cementował wspólnie przelaną krwią na polach bitew.

Piękny to epos pełen realizmu... Uważam, że dotychczasowe wydawnictwa, jakie się ukazały, nawet w drobnej mierze nie odmalowują tej bogatej kroniki żołnierza, który szedł ze wschodniego frontu do Polski i który był współtwórcą naszej nowej rzeczywistości — ludowej Polski. Pisze to prosty żołnierz, który tę drogę przeszedł i pragnąłby, by taka lektura nie tylko stała się pamiętką dla niego, ale też była uzupełnieniem w literaturze polskiej o odrodzonym Polskim Wojsku”.

Celny strzał. Nasz epos wojenny nie znalazł dotąd w literaturze godnego odzwierciedlenia. O narodzinach wojska, o jego szlaku bojowym pisze się u nas albo uroczyste programowe artykuły, albo banalne wspominki. Albo „braterstwo broni”, „za naszą i waszą”, „Grunwald” i „chwala oręża” — albo okliwie stylizowana przyborowszczyzna z kanonierem Wojtkiem, któremu się śnią matula i który nie potrafi mówić inaczej niż „hej chłopcy, pokażemy przeklętym Szwabom, jak ta nasza polska wiara” itd.

Nasza literatura wojenna jest ilościowo i jakościowo niewspółmierna do bogactwa i wagi tematów. Oficjalni kronikarze odradzającego się wojska kierowali się na ogół impresjami, gazetki polowe notowały co ciekawszemu epizody — brakło natomiast dobrego reportażu, który by — umiejętnie komponując wielkie wydarzenia i niepozorne sytuacje, powiedzenia, gesty — odtworzył nastrój ducha, dynamikę, sens tamtych dni.

Uczestnicy minionych walk mają prawo do tego, by ich nazwiska i wizerunki zostały utrwalone. Nie tylko ci, którzy się wstawili. Nieznany żołnierz ma prawo do honorów, nawet jeśli nie poległ. I ten, który walczył, i ten, który liczył onuce w magazynie, i ten, który opatrywał rannych. Póki ci ludzie żyją, póki czas nie odbarwił ich wspomnień, trzeba te wspomnienia gromadzić. Trzeba gromadzić fotografie, dokumenty, listy z owych dni, nie czekając aż dzisiejsi urzędnicy i osadnicy zastarzeją się, przywdzieją mundurki weteranów i staną się pensjonariuszami spółdzielczych domów starców i statystami uroczystości państwowych. Trzeba gromadzić dokumenty i wspomnienia do kroniki wydarzeń, z których zrodziła się wolność i demokracja nowej Polski.

Ale chodzi tu nie tylko o kronikę. Chodzi o literackie przetworzenie tematu. I tu wyłaniają się trudności. Postępowa, demokratyczna literatura okresu międzywojennego była antimilitarystyczna. Tylko politycznie reakcyjny pisarz sławił wojenkę. Antymilitaryzm był wykładnikiem postępowości. Duhamel, Barbusse, Zweig, Hašek, Remarque czy Renn uczyli nas nienawiści do wojennego rzemiosła, demaskowali kłamstwo okopowej romantyki, drwili z koszarowego drylu i z oficerskiej pyszałkowości. To byli obrońcy prostego człowieka, Szwajjka czy sierżanta Górszy, człowieka wtłoczonego w mundur, oszukanego, zastrazone-

go, przeznaczonego na mięso armatnie. Stało się jednak, że na przekór pacyfistycznemu apostołstwu, losy ludzkości, losy idei, którym służyli wrogowie militarysty, rozstrzygnięto na polach bitew. Demokracja ludzi prostych odniosła zwycięstwo militarne.

Pisarze postępowi zmienili dziś swój stosunek do wojska, które obroniło ich samych. Ale zmienili ten stosunek tylko deklaracyjnie. Nie odnaleziono jeszcze właściwego wyrazu literackiego dla tej afirmacji. Jeśli apoteoza wojska i wojny była tendencyjnym fałszem, to fałszem będzie również zwykłe przenicowanie starych frazesów na lewą stronę. Stosunek demokracji do wojska i wojny jest dwoisty. Żołnierz demokratycznego wojska nie może być militarystą, nawet jeśli rozmiłowany jest w służbie wojskowej. Ten żołnierz nienawidzi wojny, armat i czołgów, ale nienawiść swoją wypowiada językiem tychże armat i czołgów. Kocha swój karabin, jako narzędzie, które pozwoli kiedyś zniszczyć wszystkie karabiny. Szanuje koszarową dyscyplinę, jako środek walki z wszelką koszarowością. Szorstki głos komendy, wszy obozowe, ropiejące rany nie są piękne i upiększać ich nie trzeba. Są konieczne. Ale istnieje piękno świadomego wzięcia się w konieczność. Gdy czło-

wiek łagodny przybiera szorstki ton rozkazodawcy. Gdy człowiek miłujący wolność ślepo podporządkowuje się rozkazowi ojczyzny. Gdy człowiek kochający życie i słońce z pogodą zarywa się w ziemię. Gdy człowiek wrażliwy bohaterstwo znosi ból rany. Gdy człowiek łagodny — zabija.

Tylko takie ujęcie tematu wojennego będzie wyrazem literackiego realizmu, realizmu, który widzi nie tylko powierzchnię zjawisk, ale odczuwa i ujawnia ich głębokie nurty. W jednym zdaniu, jednym obrazem, jedną strofą wiersza wypowiedzieć ukołowanie czołgu i nienawiść do niego. Wypowiedzieć to, co było treścią czynu zbrojnego i zbrojnego zwycięstwa demokracji. Nielatwe to zadanie dla pisarza i nielatwe dla publicysty.

Publicystą, który w latach wojny najwłaściwiej wyraził tę dwoistość, był Erenburg. W codziennych artykułach zagrzewał do walki, stawiał cnoty wojenne, ale nigdy nie apoteozował wojny. Przeciwnie, budził tęsknotę do pokojowego życia. Był piewą radzieckiego patriotyzmu, piewą patriotyzmu rosyjskiego, ale nie przekraczał progu szowinizmu. Był apostołem krwawej zemsty, ale nigdy okrucieństwa. Władziwiający sposób łączył aktywizm i krzepę z refleksyjną zadumą i senty-

mem. Popularność Erenburga była niezwykła, bo nikt tak jak on nie zdołał wydobyc na powierzchnię i wypowiedzieć podświadomych nurtów narodu pod bronią. W odnalezionym rozkazie dowódcy jednego z radzieckich oddziałów partyzanckich zabrania się partyzantom używania, jako zwitków do machorki, tych stron gazety, na których wydrukowane są artykuły Erenburga. Czy może być wyższa nagroda dla pisarza tej wojny niż taki rozkaz?

Pisarz, który podejmie temat wojenny, niech pamięta, że w tej wojnie walczyli z zawodowcami, rozmiłowanymi w krwawym rzemiosle, cywile z ducha i ciała. Niech pamięta, że karnym zastępem Niemców, rozmiłowanych w mundurach, w marszu, w drylu wojskowym i w bronni, przeciwstawili się ludzie rozkołchani w wolnym życiu i w twórczej pracy. Ludziom złym, zakamieniałym i suchym przeciwstawili się prości, dobrzy, pogodni ludzie. Marsowemu fanatyzmowi przeciwstawiła się trzeźwa inteligencja. Dopiero w ogniu walki uczyla się demokracja wojennej brutalności, zaciskania zębów, wojennego hartu i sprytu. I jeśli demokracja wykazała wyższość swej sztuki wojennej, jeśli żołnierz demokracji wytrzymał do ostatka, jeśli sztabowcy demokratycznych armii lepiej prze-

widywali, planowali i zrealizowali swe plany, to stało się to tylko dlatego, że sztuka wojenna demokracji podporządkowana była słusznej i wrogiej militarystyce idei.

Wojna była dla demokracji nie tylko przewyciężeniem wroga, ale i samoprzewyciężeniem. Trzeba, żeby ten proces samoprzewyciężania się i „maksowienia” ludzi demokracji znalazł swój wyraz w literaturze. Trzeba odrzucić stare rekwizyty batalistycznej romantyki, odrzucić chwackość i zawadiactwo, tak samo jak odrzucić trzeba pacyfistyczny sentymentalizm, sceptycyzm i ironię. Trzeba spojrzeć w głąb rzeczywistości i tę głąb odsłonić.

Odrodzona armia polska była i jest stopem bardzo różnych elementów. Na początku było kilku wojskowych, którzy nie poszli z Andersem i kilku inteligentów-działaczy politycznych, którzy doskonale znali dialektykę, ale z trudem odróżniali lułę karabinu od kolby. Byli dawni osadnicy z kresów, którzy przed wstąpieniem do I dywizji przez szereg miesięcy patrzyli na zorzę polarną, byli Polacy ze Związku Radzieckiego, którzy mówili takim mniej więcej językiem: „najpie się rozbiezrzemy, a potem będziemy dokazywać”. Byli Dąbrowszczacy. Byli ludzie wszystkich warstw społecznych, ze wszystkich dzielnic Polski. Było wielu pragnących wykonywać rozkazy, a mało takich, co umieli je wydawać. Potem przyszli rekruci z Wołynia i z tarnopolszczyzny, przywiezieni „eszelonami” i przekonani, że jadą „na białe niedźwiedzie”. Później włączył się do armii strumień partyzantów z Armii Ludowej, przyszli akowcy, przyszli rekruci z normalnego już poboru, przyszli oficerowie z oflagów i ci od Andersa. Jakże różnorodne poglądy, tradycje, przesady, uprzedzenia, jakie konflikty, dramaty i tragikomedie złożyły się na stop, który stał się armią polską. Ileż to ludzkich i aż nadto ludzkich spraw było na szlaku od Sielca do Berlina.

Nie odzierajmy legendy polskiego czynu zbrojnego z jej człowieczeństwa. Nie trzeba łagodzić, retuszować, mitologizować świeżych wydarzeń, które i tak zastępną kiedyś w legendę. Zanim to się stanie, niechże te wydarzenia raz jeszcze przemówią ze stron książek żywym wielogłosem. Nie tylko o bohaterstwach wstąpieniach i patriotycznych westchnieniach. Ale i o tych komarach, co były w Sielcu. O żytym bimbrze we wsi Krokodilowo pod Smoleńskiem i o buraczanym bimbrze w Darnicy pod Kijowem. O tych telefonistkach w drelichowych szarawarach. O błocie w Sumach przed kuchnią i nawet o tym szabrze nad Odrą i Nysą. Nie będzie to szarganiem świętości, bo świętością czynu zbrojnego demokracji było właśnie to, że dokonali go powszedni, grzeszni ludzie, którym serdecznie zbrydły patetyczne frazesy chytrych świętoszków. Niechże ci powszedni ludzie przejdą do historii nie w zbrojach rycerskich, ale z czapkami „uszankami” na głowach, odziani w kiepskie drelichy. Niech literatura pokaże tych ludzi nie takimi, jakimi mieli się stać i nie tylko takimi, jakimi się stali, ale niech pokaże to, co było najpiękniejsze i pełne prawdziwej romantyki — sam proces stawania się.

Po pierwszej wojnie światowej minęło kilka lat, zanim z tematem wojennym wystąpiły muzy. Kilka lat namysłu, rozważań, dojrzewania, rozczarowań. Ubiegła wojna pod względem ideowym nie budziła wątpliwości. Muzy wiedziały, że jest to wojna i w ich obronie. Jeśli milczały, to tylko z braku czasu i z braku perspektywy; nie było jednak w tym milczeniu chłodu ani nieufności.

Zamilkła kanonada wojny. Czekały aż przemówią muzy. Czekały na to autor listu przytoczonego w urzywku na wstępie, jeden z obrońców tych muz. Należą mu się nie tylko ordery, medale i uroczyste apele. Należy się żołnierzowi od muz podziękowanie. Takie samo jak za Monte Cassino i Narvik. Podziękowanie za Polskę.

Paweł Konrad

## Czy przeciw lekarzom?

Od czasu, gdy ogłosiłem artykuł „Heroiczne pokolenie” („Odrodzenie” nr 41), w którym znalazło się zdanie „Na razie szaleją jeszcze lekarze...”, parę już razy zwracano się do mnie z kół lekarskich z zapytaniem, dlaczego wybrałem sobie za cel krytyki medycynę? Jedni uważają, że dzisiaj znacznie więcej ludzi „szaleje”, np. adwokaci, aptekarze, kupcy, różni przedsiębiorcy, rzemieślnicy, spekulanci. Człowiek tak został stworzony, że wszystko musi sobie jakoś wytłumaczyć i woli nawet najbardziej fantastyczne wyjaśnienie, niż pozostawanie w niewiadomości. Znaleźli się tedy także tacy, co wytłumaczyli sobie wspomniany passus jakoś ukrytą zemstą.

Zacznę od motywów mego wystąpienia. Kierowałem się względami idealnymi. Z lekarzami jestem w dobrych stosunkach, to znaczy jestem zdrow i spotykam się z nimi tylko w teatrze, na wieczorach dyskusyjnych albo z rzadka przy brydżu. Jedynym rodzajem analiz, jakim się poddaję w zetknięciu ze światem lekarskim, jest analiza rozkładu kart lub trudniejszych sytuacji przy szlemiku heytowanym. Takich terminów, jak „puls”, „gangrena”, „komplikacja”, „stos pácierzowy”, „stan zapalny”, „skąpel”, „recydywa” używają lekarze w rozmowie ze mną tylko w znaczeniu przenośnym i to niekoniecznie w dyskusjach politycznych, częściej w literackich. Bówiem moi znajomi lekarze pasjonują się zagadnieniami kulturalnymi i artystycznymi i czytają stanowczo więcej nowości literackich niż niejeden krytyk, oczywiście dlatego, że mogą kupować więcej książek aniżeli pisarz. Jeszcze lepsze stosunki z medycyną ma moja rodzina; córka np. zaczęła karierę życiową od tego, że urodziła się wnuczką nie tylko lekarza, ale nawet prezesa Towarzystwa Lekarskiego i na podstawie stosunków rodzinnych została chrześniaczką cenionego i doświadzonego pediatry!

Stanowczo nie mam osobistych powodów do występowania przeciw lekarzom. Nie występuję też przeciw nim, lecz w ich własnym inte-

resie. Bronię ich przed nimi samymi. Jakże często postępowanie ich godzi w ich własne interesy, a pośrednio, społecznym rykoszetem, w ogóle w warstwę inteligencją. Gniew ludu bywa ślepy. Rewolucje, jak uczy doświadczenie historyczne, generalizują.

Lekarski passus w artykule o młodzieży akademickiej miał zgoła inną, niż to przypuszczano, genezę. Związek jego z uniwersyteckim tematem był głębszy, choć niewidoczny. Było to w parę miesięcy po zwolnieniu Polski. Student inwalida z powstania warszawskiego zwrócił się do pewnego profesora wydziału lekarskiego na jednym z polskich uniwersytetów z prośbą o operację. Biedak nosi dalej ślady nieszczęścia Warszawy, albowiem nie miał kilkunastu tysięcy na honorarium. Wiem dobrze, że profesor był specjalistą o pewnej sławie i że chirurgi prowincjonalni, bez nazwisk naukowych, w tym samym czasie brali tyleż samo lub więcej za łatwiejsze, pospolitsze zabiegi. Mimo to zażądanie takiej sumy od studenta w czasie, kiedy pensja profesora wynosiła około 2000 zł, a zasiłek stypendialny studenta 100—300 zł, wydało mi się czymś bardzo dziwnym.

Trudno wymagać, żeby każdy lekarz miał w swej bibliotece „Myśli i aforyzmy o etyce lekarskiej”; a jeśli przypadkiem posiada, żeby je czytał; a jeśli czyta, żeby się tymi maksymami kierował. „Pamiętajmy o tym — czytamy na str. 50 drugiego wydania z 1925 roku — że medycyna urodziła się z niedoli, a rodzicami jej chrestynami były: miłosierdzie i współczucie. Bez pierwiastka filantropijnego medycyna byłaby najpospolitszym a może wstrętnym nawet rzemiosłem”.

Wiem, że byli w czasie wojny i są dzisiaj lekarze, którzy zachowują się po obywatelsku. Wiem daleko, że większość „szalejących” działa bez złej myśli; po prostu sądzą dość nierasobliwie, że pora już, w dwa lata po wojnie, zacząć żyć „po ludzku” i dlatego postępują nieraz nieludzko. Państwo im tego nie broni. Jest

wolny handel, wolna konkurencja; są ceny komercyjne, są też wolne zawody. Zakaz państwowy, a „zakaz społeczny” to różne jednak rzeczy. Pierwszego może nie być, a mimo to drugi może obowiązywać. Stwierdzam z przykrością, że część inteligencji przeszła do obozu tych, którzy nie chcą słyszeć o ciężkim położeniu warstw pracujących nad odbudową kraju. Ideą ich jest życie na przedwojennej stopie.

Przechodzę do usprawiedliwienia lekarzy: nie tylko lekarze szaleją. Kto jeszcze? Aptekarze, adwokaci, kupcy, giełdjarze, spekulanci. Usprawiedliwienie zgoła upokarzające, jeśli się zważy, w jakim towarzystwie stawiają obrońcy swych klientów. Z jednej strony chłop, robotnik, inteligent pracujący, czyli urzędnik, nauczyciel, pracownik naukowy, a z drugiej lekarze, aptekarze i adwokaci obok niesumiennych handlarzy, zachłannych przemysłowców, bezwstydnie wyzyskujących sytuację wolnych rzemieślników i zwyczajnych spekulantów. Bądźmy powściągliwi. Wystarczy powiedzieć, że nie jest to w dzisiejszych czasach kompania honorowa ani społecznie awangardowa.

Wniosek z dotychczasowych uwag: to nie tylko o lekarzy chodzi. Lekarze byli punktem wyjścia ogólnych refleksji nad inteligencją. Sądzę, że społeczeństwo ma prawo oczekiwać czegoś innego od przedstawicieli zawodów inteligentnych niżeli od pospolitych dorobkiewiczów wojennych. Jeśli garstka ludzi — mimo wyrzeczeń i ofiar, jakie miliony pracowników wszelkich kategorii składają dzisiaj dla publicznego dobra — nie wstydy się swymi, wymaganiami standardu życiowego odstrzychnąć od pracującej masy narodu, to powinna też odważnie zdać sobie sprawę, że postępując w ten sposób dobrowolnie się wyłącza ze społeczności trudu, heroizmu i użyteczności publicznej. Powinniśmy sobie uświadomić, że historia cierpliwie bilansuje koszty różnych przyjemnych zabaw i wysokiego standardu życiowego Ludwików XIV-tych, XV-tych i XVI-tych.

Wacław Kubacki

Chcesz poznać obozy koncentracyjne w relacjach pisarzy francuskich?

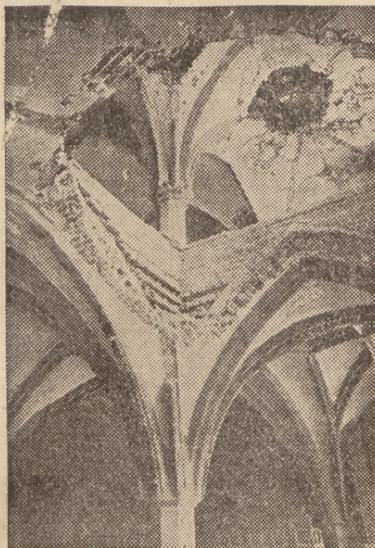
Kup listopadowy zeszyt miesięcznika

» Twórczość «

Cena 70 zł. Wszędzie do nabycia

HELENA BLUMÓWNA

# ZNISZCZENIE ARCHITEKTURY PIASTOWSKIEJ WE WROCŁAWIU



Ratusz. Uszkodzone sklepienie

Polskość średniowiecznych zabytków sztuki na Śląsku to fakt niezaprzeczony, która musiała uwzględnić i uznać nawet nauka niemiecka, ostatecznie zupełnie oddana propagandzie. Czyniła to bardzo opornie i niechętnie, starała się przynajmniej pomniejszać, kwestionować lub przemilczać. A jakże często fałszowano fakty. Nie można mieć zaufania do nauki niemieckiej, bo prawdziwa nauka, która winna służyć swymi zdobyczami dla dobra całej ludzkości, nie może być na usługach fałszu i kłamstwa.

Wobec zabytków sztuki kłamstwo okazało się bezsilne. Faktem rzeczywistym pozostawało samo dzieło sztuki, które mówi za siebie i daje świadectwo prawdzie. Stąd tak wielkie wzruszenie, gdy udajemy się na Śląsk śladami dawnych Piastów. Wrocław, związany w średniowieczu silnymi węzłami z Krakowem, daje chyba najsilniejsze przeżycie. Ruiny i zgliszcza — oto Wrocław, który oddali nam Niemcy. Ogromnisze przywodzi na pamięć święte dla nas ruiny Warszawy. To tłumaczy nasze odrętwienie wewnętrzne w pierwszym zetknięciu się z Wrocławiem.

Inne jest jednak nasze wzruszenie, gdy stajemy nagle wobec średniowiecznych kościołów Wrocławia, które noszą na sobie piętno przynależności do polskiej kultury. Dziś widoczne jest ono bardziej niż przed wojną. Wrocław zniszczony, okaleczony, stracił swe wierzchnie warstwy niemieckie. W kościołach zniszczyły wnętrza, ołtarze i rzeźby barokowe, zniknęła warstwa obca, dość gruba, by ukazać naszym oczom ruiny, niekiedy już tylko szkielety, z zachowanymi tu i ówdzie fragmentami rzeźbiarskimi — świadectwo dawnej polskości.

Problem polskości zabytków śląskich — siłą faktu — podjęła nauka polska. Badając np. katedrę wawelską i jej plan założenia, nie można nie zwrócić uwagi na analogie i relacje z założeniem planu katedry we Wrocławiu. Przynależność Śląska do polskiego obszaru kulturalnego wyraża się we wspólnocie artystycznej. A przykład z katedrą jest tylko jednym z ogień.

Leżą przede mną tomy „Historii Śląska”, wydane w r. 1936 pod redakcją profesora Semkowicza, wydawnictwo Polskiej Akademii Umiejętności. Nauka polska umiała postawić problem obiektywnie, bez szowinizmu narodowego. Malarstwem śląskim zajmują się Władysław Podlacha i Tadeusz Dobrowolski. Architekturą i rzeźbą Mieczysław Gębarowicz. W architekturze znajduje wyraz istotny związek kultury z ziemią, z człowiekiem, który ją kształtował. Metoda historyczna Gębarowicza opiera się nie na faktach i faktikach, ale na istotnych związkach zachodzących pomiędzy dziełem sztuki i otaczającą je atmosferą. Architektura nie jest dla Gębarowicza martwym wytworem jakiegoś terenu, ale dziełem w pełni związanym ze sprawami życia. Gębarowicz, jako prawdziwy humanista, przez poznanie człowieka szuka związku dzieła sztuki z epoką.

W świetle jego wywodów okazuje się, że: „Śląsk jako dzielnica najbardziej na zachód wysunięta i granicząca z krainami o dawniejszych tradycjach kulturalnych jak Czechy

i marchie wschodnio-niemieckie, wykazuje z jednej strony zacofanie i bierność pod wielu względami, i to zarówno w stosunku do swych zachodnich sąsiadów jak i w stosunku do innych ziem polskich, na wschód odeń położonych, z drugiej strony posiada jeszcze dzieła, którymi wyprzedza kraje ościenne i które nie znajdują wytłumaczenia w materiale zabytkowym najbliższych terytoriów“.

W sztuce śląskiej przejawiałyby się więc siły lokalne. Takim przejawem byłby zwłaszcza portal romański dawnego kościoła św. Wincentego, znajdujący się dziś w kościele Marii Magdaleny, który Gębarowicz uważa za najstarszy tego rodzaju zabytek w środkowej Europie i dla którego nie znajduje współczesnej analogii ani w środkowych i wschodnich Niemczech, ani też w Polsce. Podobnie byłby nim tympanon, przechowywany w muzeum. W ogóle w świetle badań Gębarowicza okazuje się, że Śląsk związany był ze wszystkimi centrami kultury europejskiej. Wykazuje on wpływy francuskie, włoskie, jak również niemieckie, które jednak nie są tak silne, by można go było uważać za prowincję artystyczną niemiecką i to zarówno w okresie romańskim jak i gotyckim.

Szczegółowe znaczenie posiada związek architektury Wrocławia z architekturą Krakowa. Mówiliśmy już o analogii w planie katedry wawelskiej. Równie ważne jest przeniesienie systemu zasklepienia z kaplicy Mariackiej (1331) oraz z sali hetmańskiej w Krakowie (1343) do Wrocławia, gdzie stosuje się go stanowczo później.

Stosunki artystyczne między Wrocławiem a Krakowem, tak bliskimi sobie środowiskami sztuki, polegały w XIV w. na obopólnej wymianie — przy czym warto podkreślić swoistość obu środowisk. Zdecydowany wpływ polski odzwierciedla się w budowlach dominikańskich: stąd te szczyty kościołów we Wrocławiu, które dla krakowianina są tak bliskie.

Nauka polska nie rozstrzygnęła jednak wszystkich problemów. W druku znajduje się publikacja Tadeusza Dobrowolskiego, która przyniesie zapewne nowe wyniki badań i rzuci nowe światło na wiele spraw.

Reprodukcje umieszczone w tekście tego artykułu dają bodaj w przybliżeniu pojęcie o ogromie zniszczenia Wrocławia. Polska, obejmując Ziemię Odzyskane, uważa ratowanie zabytków sztuki nie tylko za swój kulturalny obowiązek, ale — przede wszystkim — starając się ratować budowle te od zagłady, pragnie zachować najoczywistsze dowody polskości tych ziem. Wobec jednak ogromu zniszczenia w całym kraju, niesposób uczynić wszystkiego od razu. Toteż miarodajne czynniki postanowiły, by przede wszystkim zabezpieczyć, chronić od dalszej zagłady, co wcale nie oznacza, by równocześnie nie miano rozpocząć jakiejś większej odbudowy.

Fundusze — jakich sum trzeba, by wszystko odratować! — pochodzą z Ministerstwa Kultury i Sztuki. Roboty zabezpieczające i restauratorskie należą do kompetencji Wydziału Architektury Zabytkowej wrocławskiej Dyrekcji Odbudowy, którego naczelnik inż. arch. Marcin Bukowski, znany ze swych robót w Krakowie, energicznie prowadzi całą akcję.

Dajmy krótki przegląd najważniejszych robót.

Przede wszystkim usuwa się zwaliny rumowisk, szukając w nich równocześnie odłamków rzeźb i fragmentów architektonicznych. W wielu wypadkach brak sklepień, które runęły, oraz dachów. Nie zawsze można od razu odbudowywać. Gdzie tylko się da, pokrywa się dachy zwodzonymi z całego Śląska odpowiedni-



Stan katedry po działaniach wojennych

mi dachówkami. Tak np. w kościele św. Stanisława i Doroty (przy jego poświęceniu był obecny Kazimierz Wielki, ale już nie jako suweren Śląska), stylowo zbliżonym do krakowskich — pokrywa dach dachówką rzymską. Tu — ma trudnych problemów konserwatorskich. Gorzej jest z kościołem N. P. Marii na Piasku, który miał piękny system sklepień trójdzielnich, dziewięciopółowych, prowadzonych bardzo śmiało i malowniczo. Dziś stoi on bez dachu i sklepienia; same mury pozostały nienaruszone. Na razie można je tylko zabezpieczyć.

Bardzo zniszczony jest również kościół św. Krzyża, jeden z najcenniejszych pomników architektury gotyckiej na Śląsku. Jest on zarazem jedynym zachowanym kościołem złożonym z dwóch — dolnego, pod wezwaniem św. Barthomeja, i górnego. Zniszczenia są duże, dach zerwany, przerwane sklepienia dzielące kościół dolny od górnego, co daje jedyny w swoim rodzaju widok. Otóż zamiarem architekta jest zostawić dolny kościół niezasklepiony dla zachowania tego wspaniałego widoku. Kościół górny pokrywa się dachówką, której ogromną ilość, idącą w setki tysięcy, zwozi się z całego Śląska.

Najgorzej przedstawia się katedra, której zniszczenia są ogromne. Kościół uszkodzony od pocisków artyleryjskich i bomb lotniczych, został jeszcze zniszczony od dołu. Niemcy bowiem zgromadzili w nim ogromne zapasy amunicji i beczki z benzyną, które eksplodowały rozsadzając kościół od wewnątrz. Zostało to komisyjnie stwierdzone. Spod rumowisk wydobyto dużo ważnych fragmentów rzeźb, maswerków itp. Na razie zabezpieczono mury magistralne nawy głównej z łukami przypornymi i przygotowuje się podstawę do właściwej więźby dachowej. Przewiduje się całkowitą rekonstrukcję katedry.

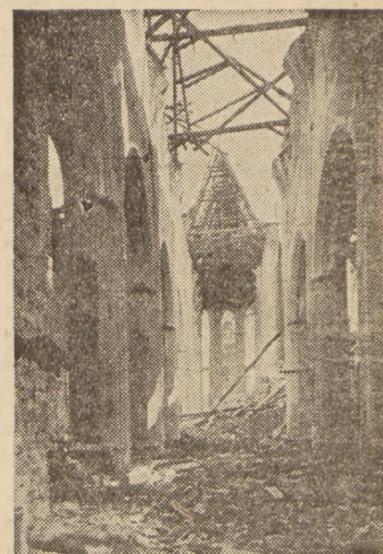
Mniej kłopotu jest z kościołem Bożego Ciała z XIV w., o pięknej formie, który nieco przypomina ko-

ściół dominikański w Krakowie. Wnętrze bardzo uszkodzone, część sklepienia spadła, laskowanie maswerków wygniecione, więźba dachu uszkodzona i dach zerwany. W tej chwili usuwa się rumowiska i pokrywa dach.

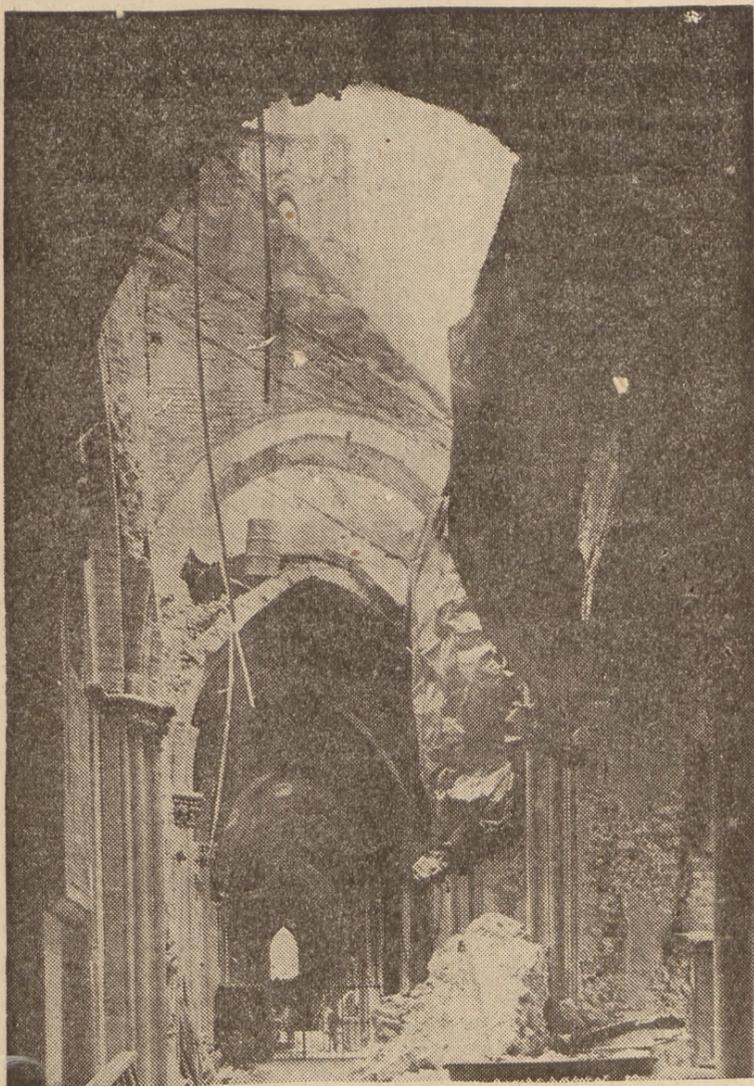
Kościół św. Wincentego (napraw... się go pod kierownictwem Urzędu Wojewódzkiego) jest poważnie uszkodzony, brak mu dachu, sklepień. Piękny ratusz w stylu niemieckiego gotyku, na zewnątrz nieznacznie uszkodzony, ma wewnątrz poważnie zniszczone.

Trudno w ramach jednego artykułu zamknąć wszystkie zagadnienia związane z architekturą piastowską we Wrocławiu. Zamiarem moim było przypomnieć historyczne i artystyczne znaczenie tych zabytków, ważność ich ze względu na polskie pochodzenie, oraz ukazać ogrom zniszczenia wojennego i troskę polskich czynników o ich ratowanie i zabezpieczenie.

Helena Blumówna



Kościół św. Wincentego



Katedra. Nawa boczna

# Moskwa widziana oczami karykaturzysty francuskiego

Popularny karykaturzysta paryski Jean Effel odbył niedawno podróż do Rosji. W jednym z pism francuskich pojawiły się opisy tej podróży. Poniżej podajemy fragmenty odnoszące się do życia Moskwy, w przekładzie Jacka Frühlinga.

## PRAWIE TAK WIELKA JAK NEW YORK

Stolica Związku Radzieckiego to ogromne miasto, w którym w gorącym pośpiechem burzy się stare domy, aby budować metropolię przyszłości. Przybyszowi zza granicy przywodzą ona zrazu na myśl miasta amerykańskiej prerii „Far-West”, które ukazywano mu w pierwszych filmach cowbojskich: obok niskich, drewnianych domków stoją wysokie kamienne gmachy, ludność wiejska pomieszana z miejską, na ulicach zapachanych furmankami i samochodami wre życie. Jest tylko jedna różnica: można godzinami chodzić po Moskwie i nie dojść do peryferii. To rosnące, na pół chłopskie miasto ma dziś prawie tyle ludności co New York.

Widziałem je ostatnio 10 lat temu. Od tego czasu rozwinęło się nieprądnopodobnie. Moskwa nie uciepiała wprawdzie od bombardowań, ale ruchu budowlanego w czasie wojny właściwie nie było. W okresie wojennym powstało dokoła stolicy wiele fabryk, których robotnicy mieszkają w Moskwie i przywędrowali do Moskwy setki tysięcy uchodźców. W ten sposób w przepełnionych i tak już mieszkaniach zagnieżdżyły się jeszcze 2 miliony ludzi. Panowała więc w Moskwie i panuje do dnia dzisiejszego mizéria mieszkaniowa, jaką trudno sobie wyobrazić. Obecnie buduje się domy sześciopiętrowe z cegły, cementu i marmuru. W każdym z nich są windy obsługiwane przez kobiety, jest centralny odbiornik radiowy połączony z aparatami radiowymi w poszczególnych mieszkaniach. Ulice są niezwykle szerokie, ma się wrażenie, że przeznaczono je na ruch dwudziestokrotnie większy niż ten, jaki panuje obecnie. Tak np. „Kości B”, odpowiadające zewnętrznemu bulwarom paryskim, ma szerokość Place de la Concorde. Nawet Paryżanin, przyzwyczajony do rozległych przestrzeni, odczuwa coś w rodzaju lęku i nieśmiałości.

## NIEKOŃCZĄCE SIĘ PRZEDMIĘSCIA, PRZEPEŁNIONE ULICE

Poza „kamiennym miastem” zamykającym byłe przedmieścia, poza olbrzymią stolicą, w której tak mało na ogół zieleni, rozciąga się olbrzymie, prowizoryczne pasmo miejscowości przedmiejskich, które należą chyba do najpiękniejszych i najbardziej czarownych na świecie. Mamy tam wiele drobnych domków stojących wśród pól, nad rzeczułkami i stawami, w otoczeniu sosnowych i dębowych lasów. Aby dotrzeć do domku reżysera filmowego Eisensteina, musiałem przebyć 40 kilometrów drogi, prowadzącej poprzez gęsto zaludnione osiedla ludzkie.

Francuzi mieszkający od dłuższego czasu w Moskwie, nie mogą się przyzwyczaić do bloków domów, stojących szeregami po obu stronach ulic. Tak samo zagubieni czują się w niekończących się przedmieściach i osiedlach podmiejskich zasianych „daczami”. W obliczu tych nieskończonych przestrzeni ogarnia ich uczucie lęku, nieśmiałości. Są jednak i tacy do których i ja należę, którzy ulegają melancholijnemu czarowi tego otoczenia. Może to wynika z gry barw i kolorów, w Moskwie tak nieskończenie delikatnej. Przejrzyste niebo, błady odcień murów, kolorystyka drzew, złoto kopuł cerkiewnych — wszystko to ma niezwykle wdzięk.

Jedno nie ulega wątpliwości: Moskwa żyje i to niezwykle intensywnie. Tylko niewielu ludzi u nas wie o tym, że o 3000 km od nich wyrasta miasto, dziś już mające dwakroć więcej ludności niż Paryż, miasto przygotowujące się do tego, by się stać metropolią dla 20—30 milionów ludzi. W dzień i w nocy płyną ulicami Moskwy olbrzymie tłumy. Między hotelem „Metropol” i hote-

lem „National”, na ul. Gorkiego, spokojniej jest, tak samo jak na Times-Square w Nowym Jorku, tylko między 3 a 5 rano. Wbrew naszym wyobrażeniom, mieszkańiec Moskwy nie jest ani olbrzymem, ani blondynem; przeważnie spotyka się ludzi drobnych, przysadzistych, ciemnowłosych. W ścisłu trudno na pierwszy rzut oka odróżnić zasiedziałość od pokoleń tubylca od przybysza. Różnica ta występuje dopiero później, zwłaszcza gdy się widzi prostych chłopów, w otoczeniu zażywnych chłopek i bosonogich dzieciaków, którzy zwyczajem wiejskim wolą chodzić jeźdźnią niż troturem. Na ulicach dużo wojska. O-



ficerowie w nienagannie skrojonych mundurach, żołnierze, tak samo jak oficerowie, obsiani odznaczeniami. Salutują przelotnych zgodnie z przepisami, ale bez wielkiej pompy. Spotyka się również wielu zdemobilizowanych. Mają mundury, ale nie noszą epoletów i czapek wojskowych.

Wszędzie dzieci, całe armie dzieci: chłopcy o krótko strzyżonych czuprynach, dziewczynki z warkoczami. Ten olbrzymi tłum ludzi przewala się w dzień i w nocy przez ulice, przez „Parki kultury”, tłoczy się w sklepach, teatrach, dancin-gach, bierze szturmem tramwaje, trolejbusy i kolej podziemną. Byłem na turnieju szachowym, Stany Zjednoczone—Związek Radziecki; partię rozgrywano na olbrzymiej szachownicy w sali wielkości dużej sali koncertowej, obsadzonej do ostatniego miejsca, przy czym setki ludzi czekały na możliwość dostania się do środka. W „Parku kultury”, położonym w pobliżu ambasady francuskiej, dzieciaki bawią się w „ślepa babkę”. W zabawie biorą udział nie dziesiątki, nie setki, lecz tysiące dzie-



ci. Wśród tłumy pełno przekupniów. Sprzedawcy kwiatów i gazet, czyściciele butów, handlarze lodów, lemoniady, melonów, zabawek, ciastek, jabłek, słodyczy i tancerki. Wszystkie transakcje dokonują się po cenach państwowych. Poza tym chłopcy oferują w wolnym handlu swoje towary: drób, ryby, grzyby...

## TĘCZA Z PŁASZCZY DESZCZOWYCH

Kto zna Pola Elizejskie, Picadilly, kto pamięta Kurfürstendamm, temu tłum moskiewski wydaje się na pierwszy rzut oka jakby bezradosny, szary i przygnębiony. Wrażenie to wypływa ze sposobu ubierania się. Naprawdę piękne są tylko stroje ludowe: u kobiet chustki podwiązane pod brodą oraz mniej lub bardziej bogato haftowane stanki lub spódn-

ce, u mężczyzn czapki, bluzy, paski, pumpy i wysokie buty. Stroje miejskie pozbawione są elegancji, co jest zresztą zrozumiałe, bo przecież socjalizm ma inne, ważniejsze kwestie do rozwiązania niż sprawę ubierania się. Tak czy inaczej, rosyjski przemysł odzieżowy stoi na razie bez porównania niżej od naszego. Trzeba jednak przyznać, że w ostatnich 10 latach i tutaj postęp jest wielki. Ludzie moskiewscy ubrani są przyzwoicie i solidnie, a niekiedy wiedzą, kiedy byłem w Moskwie po raz pierwszy. Materiały są lepsze i bardziej różnorodne. Przemysł odzieżowy raz po raz dostarcza sklepom nowych artykułów, na które rzucają się chciwie kobiety i dziewczęta. Podczas mego poprzedniego pobytu była moda na berety francuskie we wszystkich możliwych kolorach. Obecnie modne są płaszcze deszczowe z kolorowego celofanu, żółte, zielone, koloru geranii. Sklepy i wystawy są nimi po prostu zasypane.

## MIASTO BEZ REKLAMY

Uświadomiłem to sobie dopiero po paru dniach. Do nastroju szarych i melancholijnych przyczynia się w Moskwie brak reklamy. Wyobraźmy sobie, że pewnej nocy z ulic Porzyża zniknęłyby plakaty uliczne. Jakżeby wtedy wyglądały nasze bulwary. W Związku Radzieckim nie ma konkurencyjnej walki handlowej, wszystkie fabryki należą do państwa.

Wystawy sklepowe, na ogół nieliczne, również nie walczą o to, by przyciągnąć uwagę publiczności. Wyjątek stanowią wystawy sklepów „Gastronomia”. Wystawy te są po sufit wypełnione towarami: szynkami, kawami, chlebami, olbrzymimi babkami, wspaniałymi rybami. Kiedy jednak człowiek przyjrzy się dokładnie, stwierdza, że wszystko to jest zrobione z papierowej masy. Gdy się wejdzie do takiego sklepu, lśnią od czystości, a biało ubrane sprzedawczynie oferują to wszystko, co na wystawie jest tylko martwą masą z papy. A więc stajemy wobec piramid owoców, kiełbas, konfitur, stodczy, ciastek, konserw i serów. W każdym sklepie „Gastronomia” dostać można dziesiątki rodzajów chleba. Jest chleb biały, czarny, pumpernickel, są francuskie bułki, żydowskie mace, jest chleb kurski i leningradzki. Obok tego 50 gatunków tortów: migdałowe, wiśniowe, ponczowe — wszystko produkty państwowej szkoły cukierniczej. Nie koniec na tym. Setki gatunków cygar i papierosów, setki flaszek win, na których widnieją francuskie nazwy Chablis, Veuve Cliquot, a które, z wyjątkiem przepysznych win kaukaskich, nie są jednak tak smaczne jak nasze.

## SZTUKA

Wszystko, co się obraca dokoła sztuki, pasjonuje moskiewskich ludzi. Gazety roztrząsają kwestie związane ze sztuką z tą samą pasją co zagadnienia polityczne. Obecnie dyskutuje się namiętnie nad formalizmem (sztuka dla sztuki) oraz nad stosunkiem tego formalizmu do realizmu socjalistycznego (sztuka stworzona dla ludu i dla każdego zrozumiała). Niestety w praktyce, przynajmniej jeżeli chodzi o malarstwo i rzeźbę, tryumfuje miernota. Parki kultury, stacje kolei podziemnej pełne są straszliwych płaskorzeźb przedstawiających dzieci, żołnierzy, atletów. Wszystkie one wyglądają tak, jakby były zrobione ze smalcu. Podobnie, z małymi tylko wyjątkami, mało pociągająca jest wystawa malarstwa współczesnego w Galerii Tretiakowskiej. Wielkie historyczne kobyły, sceny z ostatniej wojny, wszystko to wygląda na wytwory mało utalentowanych adeptów sztuki.

Są za to w Moskwie wybitni rysownicy. A więc ilustratorzy książek Kibrik, Szmarinow oraz wspaniali karykaturzyści pracujący w czółwym satyrycznym piśmie „Krokodyl”. Najśladowniejszymi rosyjskimi karykaturzystami są Kukryniksy. Jest to niespotykany fenomen. Ci trzej przyjaciele pracują razem i nie-

wiadomo, który co narysował. Moim zdaniem ta moskiewska trójka jest dzisiaj najlepszym w świecie zespołem karykaturzystów.

Poza tym są w Związku Radzieckim wspaniali rzemieślnicy: garniarze, grawery, a przede wszystkim plastycy. Małe figurki z gliny cudownie obrazują rosyjskie życie ludowe: grajek na harmonii, wozowoda, myśliwy, postaci z bajek, wróżki, zwierzęta. W tych małych figurkach jest o wiele więcej wdzięku, blasku i humoru niżeli w naszych glinianych figurach z Prowansji.



## ODWIEDZINY U KOPCIUSZKA

Nieźródny jest bez wątpienia moskiewski teatr. Co wieczora tłoczą się tam ludzie, gdyż ceny biletów są niskie i każdy mieszkaniec Moskwy, bez względu na to ile zarabia, może sobie pozwolić na bilet na komedię, operę, balet, koncert czy do kina. Nigdy nie ma wolnych miejsc. Dla widza francuskiego najbardziej znamienne jest to, że w teatrach moskiewskich wszyscy wykonawcy grają z równą pasją i z równym entuzjazmem. Nie można tu spotkać na scenie takich żałostnych figur, jakie widzimy w teatrach paryskich wśród statystów, odgrywających rolę żołnierzy spod Wagram czy gwardii przybocznej Cezara.

Jeżeli chodzi o kino, to jest ono o wiele mniej porywające aniżeli w pierwszych latach rewolucji. „Wielki przełom”, film o bitwie pod Stalingradem, jest dla tych, którzy widzieli „Potiemkina” i „Linie generalną”, gorzkim zawodem. Za to balet, zwłaszcza reprezentacyjny, stoi na najwyższym poziomie. Widziałem „Kopciuszkę” z muzyką Prokofiewa, wystawioną z niebywałym powodzeniem w Teatrze Wielkim. Trudno



opisać grację, inteligencję i wirtuozyzm tancerzy i tancerek. Nie można również oddać w słowach barwnych kostiumów, grających wszystkich kolorami tęczy oraz pomysłów reżyserskich. Nie rozumiem dotychczas, jakimi to technicznymi i świetlnymi sztuczkami udało się dać publiczności złudzenie, że księżę z bajki, który w rzeczywistości stoi na środku sceny i trzyma słynny pantofelek ze szkła, biega równocześnie jak szalony po całym pałacu. Ściany się rozstępują, galerie cofają się w tył, schody krążą dookoła — widzowi kręci się w głowie i zaczyna mu walić serce.

## OGNIE SZTUCZNE NA PLACU CZERWONYM

Czymże jest jednak widowisko teatralne wobec widowiska rozgrywającego się na ulicy? Dopiero w czasie wielkich świąt ludowych uze-

wnętrzniają się organizacyjne zdolności Mosjan. Miałem szczęście być świadkiem takiej nocnej uroczystości zwanej „salutem”. Są to te same uroczystości, o których podczas wojny mówiło radio rosyjskie, kiedy po wiadomości o sukcesach na froncie oddawano 30 albo 100 armatnich wystrzałów. Ludność Moskwy, która w ten sposób święciła tyle zwycięstw — nie bardzo się już tymi uroczystościami przejmują. Ja przeżyłem to po raz pierwszy i muszę powiedzieć, że nigdy w życiu nie widziałem czegoś, co zrobiłoby na mnie większe wrażenie i co by było piękniejsze.

Nad Moskwą, spowitą w całun nocy, zabłysło 6 gwiazd z prawdziwych rubinów, umieszczonych na najwyższych wieżach Kremla. Wielkie płace dokoła Kremla zarożyły się tłumami. Setki orkiestr, na estradach kłowni, śpiewacy, tancerki, tysiące wozów i wózków. Nagle rozbłysło kilkaset reflektorów i ze wszystkich stron strzeliły w niebo kolorowe kule. Różowe, pomarańczowe, lilio-we, niebieskie, a równocześnie, wysoko nad nami, skąpane w świetle reflektorów, załotały olbrzymie, czerwone chorągwie, umieszczone na balonach. A potem popłynęła kaskada sztucznych ogní. Nie wyobrażam sobie piękniejszej i wspanialszej uroczystości.

W poprzednim 48 (105) numerze „Odrodzenia” z dnia 1 grudnia 1946 r.: Paweł Konrad: Chleb i wino demokracji. — Lidia Łopatyńska: Surrealista mimo woli. — Kazimiera Hłakowiczówna: Grób polskiego żołnierza. Zamordowana Rumuneczka. — Julian Przyboś: Z podróży po Czechosłowacji. — Józef Ciałosiński: Polska leży w Europie. — Radłowy Uniwersytet Ludowy. — Tadeusz Pelper: „Wesele” w Teatrze im. Słowackiego. — Stanisław Peters: Wokół Biblioteki Publicznej m. Krakowa. — Janina Pręgorówna: Chwila kłeski. — Józef Sieradzki: Otwarty rachunek. — Rocznik „Ludu”. — Konkurs na jednoaktówkę. — Wilhelm Mach: Ten i tamten brzeg czasu. — Tydzień bibliograficzny. — kJw: Szkoła krytyków. — Statystyka dzienniki. — Henryk Vogler: Notatnik polowy poety. — Tadeusz Konwicki: Nowe książki. — Henryk Vogler: Jeszcze jeden dokument. — Stanisław Nowaczyk: Nowe podręczniki historii dla szkoły powszechnej. — Konstanty Grzybowski: Opozycjonści z Partii Pracy. — Włodzimierz Zajackowski: Karaimi i ich czasopismo. — Kronika Ilustrowana. — Stefania Łobaczewska: Życie muzyczne w Krakowie. — W pracowniach pisarzy i uczonych. Ankieta „Odrodzenia” (Halina Aunderska, Ludwik Jaxa Bykowski, Tadeusz Czeżowski, ks. Mieczysław Dybowski, Stanisław Grzycki). — Korespondencja (Marian Seyda). — gl: Psychologia dyktatorów przed bankructwem. — gl: Jak uniknąć trzeciej wojny? — fri: Von Hassel i jego książka. — „Penelope” w Warszawie. — Stanisław Jerzy Lec: O literaturze. — Wacław Kubacki: Z teki dr. Prota Sowizdrzała. Gryfologia. — Artur M. Swinarski: Epigramaty teatralne. — „Carmen” w Operze Śląskiej. — tar: O plecuchu brzydki. — „Damy i huzary” we Wrocławiu. — Komunikaty. — 10 ilustracji. — 12 stron.

Już ukazał się w sprzedaży  
105 numer

## »TRYBUNA WOLNOŚCI«

o następującej treści:

Mieczysław Wągrowski: Wybory. Bronisław Minc: Danina Narodowa. Ostap Dłuski: Wielkie zwycięstwo demokracji. Józef Dubiel: Uwłaszczenie na Złomach Odzyskanych. Zanna Kermanowa: Juliusz Aleksander Kydygier. Tadeusz Gode: Rozwój przemysłu Złom Odzyskanych. Przed Wyborami. Kalendarz wyborczy. Na Widowni Międzynarodowej — „Rebelle” w Partii Pracy — Konferencja Togliatti — Tito — Ubezpieczenia Społeczne w ZSRR — Zasadnicze cyfry rozwoju ZSRR. Z życia Partii. Wśród Książek — Nauki ekonomiczne K. Marksa — Z Bieli i Odry. Na Łamach Prasy. Wolna Trybuna. Kalendarz Wydarzeń.

JERZY ZAWIEYSKI

# Niegłośny jubileusz „Wesela”

W roku bieżącym minęło czterdzieści pięć lat od premiery „Wesela” Wyspiańskiego. Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie przypominał nam ten utwór, wystawiając go, jeśli się nie myli, niezależnie od rocznicy jubileuszowej. Tak się złożyło, że w wielu miastach po odzyskaniu niepodległości Teatr Wojska Polskiego ożywił zamarłe sceny właśnie „Wesela”. Zdaje się, że wybór „Wesela” był wówczas podjęty ze świadomością, iż arcydzieło Wyspiańskiego odpowiada wielkiej dziejowej chwili, jaką przeżywamy. Pierwszy zatem spośród dramaturgów przemówił Wyspiański.

Zastanówmy się głębiej nad „Wesela”, niezależnie od rocznicy jubileuszowej, gdyż „Wesele” w każdym okresie czasu i w każdym pokoleniu budzi rozliczne refleksje.

## DOŁY I SZCZYTY

Wyspiańskiego skwapliwie zabal-samowała krytyka i, przyłożywszy pieczęć z orzeczeniem, że jest czwartym wieszczem narodu — tym samym skazała poetę na urzędową nietykalność i na całkowite znumifikowanie jego twórczości.

Słusznie zauważył M. Kridl, podsumowując artykuły o Wyspiańskim z racji 30-lecia jego śmierci, że była to chmura kadzidel złowieszczego od-suwająca twórczość poety w jakiś swoisty niebyt kulturalny. Krytyka w wyuczonych gestach obrzędowych załatwiła i niejako uauoneła problem Wyspiańskiego jako artysty i jako ideologa.

Tymczasem każdy utwór Wyspiańskiego, a zwłaszcza „Wesele”, dowodzi, że w tej twórczości jest dla każdego pokolenia nowe zdumienie, nowy zachwyt lub sprzeciw. Twórczość ta jest żywa, ciekawa, pełna dołów i szczytów; jest w niej prawda i fałsz, wielkość i pospolitość. Niewątpliwie całość pracy Wyspiańskiego dowodzi, że stykamy się z fenomenem genialności, z czymś, co porwuje i zastanawia.

Zastanawiające jest to, że poeta o ubogim wyrazie poetyckim — jest jednak wielkim poetą teatru, — i że tajemnica jego jako poety jest jedną z niewątpliwych tajemnic sztuki pi-sarskiej.

Ten sam Wyspiański tworzy takie arcydzieła, jak „Wesele”, „Sędziów”, „Warszawiankę”, fragmenty „Lumunta Augusta”, niektóre wspaniałe sceny „Nocy listopadowej” i „Akropolis” — i równocześnie pisze tak niewspółmierne do tamtych utwory jak „Legion”, „Legenda”, „Wyzwolenie”.

Ale to właśnie interesuje i intryguje, to nam przybliża Wyspiańskiego jako pisarza który buntując się przeciw zastanej rzeczywistości dramatu — stworzył nowy dramat wy-pozazający go we własne środki wy-razu, nie zawsze szczęśliwe, ale oryginalne i śmiałe.

Twórczość Wyspiańskiego powta-rzana przez naśladowców ukazuje w krzywym zwierciadle niebezpieczeństwa jego sztuki, która nie da się ani powtórzyć, ani rozwinąć.

Wyspiański — to niewątpliwie genialny, prekursorski artysta. Właśnie słuchając „Wesela” lub czytając ten utwór, nie można uwolnić się od myśli, jak bardzo „Wesele” jest utworem współczesnym, jak żywym i interesującym mimo swoje bardzo liczne przeobrażenia, które jednak tym silniej podkreślają wszelkie jego wyniosłe szczyty.

## „WESELE” WÓWCZAS

Obrońmy napiętnowanych niek-tórych słuchaczy sprzed lat czterdzie-stu pięciu, którzy oglądali ten utwór w dniu pamiętnej premiery, opisy-wanej już tylkrotnie i przekazanej nam, jako niespotykana w dziejach teatru reakcja publiczności! Tymi słuchaczami, którzy nie docenili ut-woru, byli trzej ludzie kierujący opinią teatralną ówczesnego Krakowa — hr Stanisław Tarnowski, Władysław Prokesh i Emil Haecker.

Było ich na pewno więcej, poczyna-jąc od samych aktorów, którzy oddawali rolę kpił z autora i prze-powiadał „klape”. Nie dziwmy się —

ani aktorom, ani Tarnowskiemu, który wyszedł z łoża w środku dru-giego aktu, trzasnąwszy drzwiami, ani Prokeshowi, który pisał, że utwór kończy się śpiewem i tańcami, ani Haeckerowi, który utwór „obje-chal”; później jednak opinię swoją zmienił.

„Wesele” należy rozważać także na tle ówczesnych upodobań i na tle wzorów, rzekomo najwyższych, ja-kich dostarczał teatr. Aktualny był wówczas Ibsen ze swoimi pastora-mi, którzy udęczali się w obrębie zagadnień etycznych, — aktualny był Maeterlinck podziwiany przez Wyspiańskiego, dużo miejsca zajmowa-ła „moderna” niemiecka, więc Strin-berg, Hauptmann — symboliści ro-syjscy i francuscy, — a z polskich starzy: Szujski, Bałucki, oraz młodzi: Zapolska, Kisielewski, Nowaczyński — no i najwyższe budzący dreszcz — wywalczony przez Maieck-kiego i później na turnie wydzwigni-ęty przez Przybyszewskiego — Słowacki!

Teatr dawał więc z grubsza rzecz określonego stylu, albo czysty roma-ntyzm, albo symbolizm, nastrojo-wość, albo naturalistyczno-realisty-czny obraz życia. „Wesele” nie mie-sciło się w żadnej z tych form, nie przystawało do konwencjonalnych i powszechnie przyjętych norm estetycznych.

Czym było? Ani komedią, ani tra-gedią — jak na dramat narodu za mało koturnu, jak na satyrę i rea-lizm — za wiele. Nie ma w utworze bohatera, — nadomiar rozróżnia się „osoby” i „osoby dramatu”. Ludzie mówią — jak duchy, duchy, — jak ludzie. Coś się dzieje, ale czy jest to akcja? Gdzie jest ekspozycja? Co jest główne, a co epizodyczne? Gdzie jasność dramatycznego konfliktu, jego rozwinięcia, nasilenia, szczytu, — a nade wszystko „idea utwo-ru”?

W dodatku, — o zgrozo! — anegdo-ta dramatu — jak szeptano — opiera się na czymś autentycznym, ludzie są podobno sportretowani, zna ich „cały” Kraków, na przedstawieniu zajmują miejsca na parterze i w ło-żach, podczas gdy sobowtóry ich u-ganiają się po scenie. Musiało to gor-szyć, dziwić i nie usposabiać przy-chylnie.

Krytyk nie mógł się przyznać, że nie rozumie utworu i nie jest zdolny go „wytłumaczyć”. Tarnowski, oprócz „osobistej” obrazy z powodu Hetmana, — nie chciał znać nowej dramaturgii poza tą, którą stworzył był genialny Zygmunt Krasiński.

Czy jesteśmy wolni od podobnych uprzedzeń? Przypomnijmy sobie, co krytyka wypisywała u nas o pierw-szych utworach Pirandella, lub o ut-worach Stanisława Ignacego Wit-kiewicza? Twórczość Witkiewicza cze-ka swego „odkrywcę” — swego Mi-riama.

„Wesele” zostało uznane; przyjęto utwór gorąco, długo nie ruszano się z miejsc, — wszyscy wiedzieli, że

w tej ciszy po opuszczeniu kurtyny składa się najwyższy hołd geniuszo-wi — hołd, który nie znajduje wy-razu — poza milczeniem.

Powiedzmy szczerze i otwarcie, że ten genialny utwór odczuła w całej jego skali — z wyklą publicz-ność, — szary tłum, masa! Inwe-ktywę krytyki zaczęły dziać póź-niej, lecz ta nieoceniona chwila ci-szy po przedstawieniu jest dziełem zwykłej „sobotniej” publiczności.

Potwierdza to tezę, że do dzieła prawdziwie wielkiego prowadzi dro-ga wprost, bez oglądania się na pomoc wtajemniczenia czy to przez krytykę, czy przez zasób wiadomo-ści, ułatwiających jakoby „przyje-cie” dzieła sztuki. Zwykła publicz-ność uratowała „Wesele” tak, jak je ratuje zawsze, gdyż powszechnie wiadomo, iż utwór ten jest „kasowy”. Kasowy i do dziś prekursorski.

## PREKURSORSKTWO „WESELA”

Jest ono, oczywiście, w katego-riach ściśle artystycznych i oznacza, że kształt utworu jest rzutowany na dziś. Utwór podważa niejako tradi-cyjną zasadę dramaturgiczną — mia-nowicie: akcję, choć akcji się nie wyzywa. Akcją w tym utworze, ładunkiem dramatycznym, jest we-wnętrzna intensywność niepokoju, jakim owładnięte są wszystkie po-stacie. Niepokój nie jest jasno okre-ślony, — i najważniejsze — nie sta-nowi podmiotowego procesu w u-tworze. Czujemy, że coś się stanie, czujemy to od pierwszej sceny, — dramatem rządzi prawdziwe fatum — za dużo nagromadza się sprzeczno-ści, — spojrzeń i gesty mają po-dwójne znaczenie — wszystko tu ra-zem gra, przewijamy się od natura-lizmu poprzez stylizację do symbolizmu, a gdy poeta aranżuje coś w rodzaju commedia dell'arte z Cho-chołem i duchami — jesteśmy na szczytach romantycznej ornamentyki.

Brak akcji i pomieszanie stylu — czyżby to miało być prekursor-stwem? Teatrem współczesności lub teatrem jutra? Nie. Mistryfikacja na-stroju, mieszanina stylowości stapia się w szczęśliwe osiągnięcie jednolitej stylu, w intensywność działania się nie poprzez wypadki, lecz poprzez inte-ktualizację i obiektywizację prze-żyć.

„Wesele” jest naładowane żywio-łem intelektualnym i ideologicznym w równym, a może większym stop-niu, co żywiołem irracjonalnym, „poetycznym”. Właściwie sceny w „Weselu” są dialogami o sztuce, o roli inteligencji, o przeszłości i przyszłości narodu, o roli chłopów, o historiozofii itd. Są to rozmowy ożywione problematyką intelektualną, którą podejmują w tej sztuce nie tylko poeci i dziennikarze, lecz chłopi, wólczydzy, Żyd i Żydówka. Gdy-by nie kostumy, tropić jest tak, jak-by się słuchało Shawa lub może Giraudoux? W tej przesadzie jest

tendencja do podkreślenia, że roz-mowa lub wręcz udialogowana roz-prawa intelektualna dopiero współ-cześnie znalazła swój żywy, drama-tyczny środek ekspresji. Tym bar-dziej, że przed oschłością sceniczne-go intelektualizmu w łatwym poje-ciu bronią tej sztuki jej czarowne elementy: ironia, humor, dowcip, satyra! Duchy w drugim akcie — zwłaszcza one! — wygłaszają całe ty-rady ideologiczne. Tak jest do końca tego utworu, który można by nazwać bez krzywdy dla niego sa-mego — utworem filozoficznym.

I utwór o podobnej nazwie — za-pyta ktoś — czyni to, że widzowie przez lat czterdzieści z górą przeży-wają stany emocjonalne najdziwniej-sze w świecie? Ośmielam się twier-dzić, że właśnie dzieje się tak wskut-tek wibracji intelektualnych proble-mów ważnych i niepokojących, rzuconych w mroczną głębię szopki i jej sztucznej atmosfery, wywołanej „poetycznością” poetów.

To, co jest prawdziwe i drama-tyczne, idzie z niepokojem pytań, roz-mów o „sprawie”, z walki wręcz po-między stanami, z wielkiej troski o hasło; to, co fałszywe, retoryczne, co jest poza, koturnem — wyraża się w egzaltacji poetów i w niemocy ich chorych dusz.

Lecz ponad wszystko najgłębiej przejmująca jest owa „dramatis persona”, obecna od pierwszego słowa, żywa, cierpiąca, niema — wspa-niała w swej zmaterializowanej for-mie, bo rozszczępiona na wszystkie osoby — owa „Sprawa”. Ona jest bohaterem utworu.

Któż umiał dotąd taki dramat ułożyć, gdzieby zbiorowość znalazła tyle ekspresji, gdzieby wypełniała sobą całą scenę?!

A dramat zbiorowości — dziś zwi-ąsza — dziś i jutro — czeka na swo-jego Wyspiańskiego.

## „WESELE” DZIŚ

Każde pokolenie czerpie i będzie czerpać co innego z „Wesela”. Wiemy, co dawał ten utwór w epoce swoich narodzin. Zdaje się, było to coś, na co dziś albo nie jesteśmy wrażliwi, albo wręcz owo coś odrzu-camy. Mam na myśli całą kwietystyczną romantykę utworu, wskaza-nia duchów, motyw Chochołowej mu-zyki. Dziś są to dla nas elementy sa-tyryczne, gorzkie, sklerowane do ówczesnych poetów i dziennikarzy.

„Wesele” ma dla nas dzisiaj prze-nośnię inna, ale równie żywą jak kiedyś. Artystycznie utwór nas zachwyca — ideologicznie zaciękawia i zastanawia.

W grubym skrócie rzecz ujmu-jąc — konflikt potęgują dwie war-stwy: panowie i chłop. Wyspiański pokazał chłopca dosadnie, realistycz-nie, „egzystencjalnie”, bez styliza-cji, cnót i sielankowości. Ale chłop ten ze sceny i ten, z którym się zna-my dzisiaj — to jednak cała wielka epoka, oddzielająca ich od siebie.

Znikła kolorowość, fantazja, owa „godność i wzięcie”, nawet słowni-ctwo jest już inne. Wiesz się zurbani-zowała i chłop uległ naporowi cywil-izacyjnemu miasta.

To nie Rachel, lecz dziewczyna wiejska, która ukończyła uniwersy-tet ludowy lub szkołę rolniczą, mo-głaby też powiedzieć, że dużo czy-ta, zna poetów, czytała Wyspiańskie-go, Żeromskiego, Dąbrowską i Nał-kowską. Powiedziałyby zapewne, że ewangelia młodzieży wiejskiej są je-szcze dotąd takie książki, jak „Pa-miętniki chłopów”, „Kordian i cham” Kruczkowskiego, „Rozdroże” Dą-browskiej, „Orka na ugorze” Jana Wiktora. Ale młodzież wiejska chętnie widzi lub czyta „Wesele”, choć chłop już jest inny. W utworze prze-konywa autentyczność chłopca tam-tej epoki.

Cała gorzka prawda zainteresowa-na problemem „pan i chłop” w „We-selu” polega na tym, że jeszcze do wczoraj, a kto wie, czy nie do dziś jeszcze — właśnie miasto, właśnie „pany” widzą chłopca takim, jakim był, a jakim nie jest i nie chce być. Jest to uporczywa postawa mie-szczucha, usiłująca utrzymać regre-sję kulturalną chłopca za cenę przy-znania mu wszelkich głębi pierwot-ności, potęgi żywiołu, „krasy”, „ma-lowanki”, „jurności” — nawet raso-wości, jako rezerwatu biologicznych sił narodowych.

Wyspiański w ciętej satyrze od-czuł to niebezpieczeństwo, ten fał-szywy rys w naszych społecznych stosunkach. Słowa Czepca noszą ży-wy podźwięk najżywszych, aktual-nych problemów.

Lecz mimo żywego, prawdziwego wizerunku pewnych „postaci-ty-pów” — niektóre z nich budzą dziś nieco głębsze refleksje.

## DZIENNIKARZ I POECI

Postać, której akcent ideologicz-ny i dramatyczny brzmi nam dzisiaj fałszywie — jest postać dziennika-rza, a po części także poety i Pana Młodego.

Dziennikarz w epoce narodzin u-tworu reprezentował cały ładunek dramatyczny konfliktów intelligen-cji. On to mówi o wsi spokojnej, o pięknie pawich piór i wstążek już na początku pierwszego aktu — je-mu to odpowiada Czepiec, że „pa-nowie... nie chcą chcieć”.

Dalej postać Dziennikarza ulega naporowi konfliktów w miarę roz-rastania się akcji, czyli niepokoju jakichś zdarzeń, które mają nadejść. On jest spośród wszystkich najbar-dziej czuły, unerwiony, jego prześla-dują wizje i udęczają wyrzuty su-mienia.

Ideologiczna retoryka dziennika-rza ma różne przenośnie, które się odnoszą zarówno do chłopów, jak i do inteligencji — do czasów prze-szłych i do teraźniejszości. Dzienni-karz jest owym „sumieniem”, któ-re zmusza do płaczu, do buntu, nie-nawiści, skargi, rozpaczy. Zwłaszcza rozmowa Dziennikarza ze Stańczy-kiem w drugim akcie ma wydzwi-gnąć sąd nad współczesnością na sąd całej przeszłości. Padają często sło-wa: „niemoc”, „ohyda”, „brud”, „targ”, „malowidła”, „bajki o trze-cim maju” itd.

Patrzmy na dramat dekadencji ówczesnej inteligencji dość chłodno, niezdolni na szczęście dzisiaj prze-jąć się głębiej psychiczną sytuacją niemocy, niewiary, wewnętrzного rozdarcia. To nie jest konflikt współ-czesnej polskiej inteligencji, która przeżyła wojnę, od biurka przeszła do warsztatów, do pracy fizycznej, przetrwała nędzę, prześladowania, więzienia i Oświęcim.

Dziś łączy nas wszystkich stosu-nek do cierpienia, do klęsk — sto-sunek do elementarnych doznań by-tu, wobec których decyduje bardziej moralna niż kulturalna strona na-szej postawy. Plekło udreki obozów i więzień zdolali przetrwać ci, któ-rzy wartość życia czerpali ze źródeł głębszych niż tylko przywiązanie, instynkt lub choć biologicznego trwania. I odwrotnie: historia zała-mań ludzkich, tragiczna i przejmuj-ąca — wyraża się nie tylko w kate-goriach psychologicznych, lecz prze-

## TADEUSZ RÓZEWICZ

# P O E Z J E

## Dola

Pamięci kaprala „Smukłego”

Leżał nagł partyzant  
śpiewały ptaki  
i mrówki wędrowały  
po woskowych dłoniach

zakazali żandarmi  
pod karą pogrzebać:  
niech tak gnije  
ścierwo bandyty

ziemia ojczyśta  
uległa poruszona  
jasną głowę przygarnęła  
i wkleśta

leżał pod lasem cicho  
jakby pił z źródła wodę  
przechylony nad  
swoją dolę  
dolem.

## Gwiazda żywa

Jakie dni mnie opłatają  
miękkie pachnące  
jak brody kupców asyryjskich  
tyle dni tyle dni  
misternie ułożonych.

Jakie noce mnie polykają  
ciemne jak ptzewód pokarmowy  
wymoszczone śluzową błoną z różu  
tyle nocy tyle nocy  
w brzuchu wieloryba.

Przyszedł mój przyjaciel  
z dziurą w czole  
i obdarł brody misterne  
rozpruł brzuch rozkoszy  
wyciągnął ze mnie  
wiotki kręgosłup płaza  
i wszczepił nowy biały mlecz  
jak gwiazdę z żywego srebra.

de wszystkim moralnych. Świat pojęć, wykształcenie, kultura, zarówno w jednym jak i drugim wypadku — nie są czynnikiem decydującym o postawie wobec życia.

Dramat Dziennikarza dochodzi do nas jak gdyby z dalekiej perspektywy, z głębi minionego czasu, którego konkretność gubi się w ostrych konturach naszych dni.

Postaci poetów, o wyraźniejszym rysunku niż Dziennikarz, umiejscawiają się ściśle w epoce zamkniętej i zakończonej — nie zwracają się do nas — wskutek czego interesują artystycznie, obiektywnie. Są wzruszające, zrozumiałe, choć obce — ich gesty mimowolnie nabierają rytmu kukulek. Z biegiem czasu ci poeci, bez pomocy teatralnej pozy i karykatury, będą postaciami wystylizowanymi na manierę „moderny”, będą bawić tak, jak teraz zaciekawiają i nawet wzruszają.

Lecz jaki los spotka Dziennikarza? Czy zobiektywizują się jego udręki? Czy coś zostanie jako żywy oddźwięk w widzu jutrzejszym? W każdym razie dramat Dziennikarza nie jest dramatem nas samych, dramatem współczesnej polskiej inteligencji.

Natomiast wiele akcentów własnych odczuwamy w dramatycznej końcówce scenie drugiego aktu, gdy inny artysta — malarz — ów gospodarz już trochę schłopiały — oskarża Dziennikarza i poetów o fałsz i kokietowanie niemocą. Słowa jego są gorzkie, bezwzględne i okrutne — i na kształt błyskawicy rozświetlają prawdą szczeroci atmosferę duchów i nastrojów. Akcentów takich jest wiele w „Weselu” i to stanowi o aktualności utworu.

#### DUCHY

Właściwe osoby dramatu zjawiają się w utworze wraz z Chochołem. Na wezwanie państwa młodych, Poety i Racheli. Duchy stanowią tutaj grubą konwencję — zjawiają się dla odbycia rozmów z poszczególnymi osobami — i odchodzą. Każdy z duchów jest odpowiednikiem tekstu głównych postaci dramatu, którym się materializuje to, „co się komu w duszy gra”. Główne rozprawy ideologiczne przeprowadzają duchy z ludźmi lub odwrotnie.

Tajemnicza sztuki Wyspiańskiego jest to, że duch, który siada, gestykuluje, chodzi, krzyczy, gniewa się — nie razi nas bynajmniej, przeciwnie — sceny z duchami mają najwięcej dramatycznego wyrazu, są znakomite teatralnie, interesujące jako wywód intelektualny.

Lecz od dawna duchy nie dają spokoju artystom-reżyserom, którzy chcieliby je uprawdopodobnić i nadać im kształt — różny od tego kształtu, jaki mają nie-duchy. Nieobojętna jest także sprawa, które duchy mają wchodzić na scenę? Czy zwyczajnie drzwiami? Może oknem? Spod podłogi? Może z rozsuniętych ścian? I jak mają mówić? Jak się mają zachować?

Wszelkie koncepcje uprawdopodobniające zjawianie się duchów rozbijają się o sam tekst, który domaga się dobrowolnej umowy, że są to duchy na niby, że głównie chodzi o to, co reprezentują, o ich sens ideologiczny czy intelektualny. Realizm postaci-duchów, jest, wydaje mi się, nie do obalenia. Można nawet żywych ludzi pojąć somnambulicznie, groteskowo lub hieratycznie — ale duchy są bryłami najczystszej realizmu.

Samo ich zjawianie się dźwięczy najwspanialszą mową teatru. Jak w tej izbie naraz mienią się sobole, zbroje, delie, złote rogi i kaduceusze. Nie można tego pojąć, dlaczego gesty duchów, zwykle i realne — mają tyle teatralnego wyrazu? Zapominamy chętnie i prędko o ich niematerialności i rozkoszujemy się ich konturami, ich „egzystencjonalnością”, poddając się równocześnie surowym wyrokom ich autorytatywnego sądu. Ale nie wszystkie duchy w jednokowy sposób podnoszą walory dramatyczne utworu.

Hetman Branicki, na przykład, zjawiając się, wywołuje ogromne wrażenie — natomiast to, co mówi — jest zadziwiająco artystycznie nieporadne. To jest najgłębsza dziura w tym znakomitym utworze. Tradycja ustaliła, że ducha tego reżyser nie wywołuje na scenę. Lecz szkoda samej tej chwili, gdy się zjawia. Jest teatralnie niezwykła!

Pozwólmy sobie na zdziwienie, że

w tym utworze realistycznym, szopkowym, w tej społeczno-politycznej satyrze — najstraszniejszy kontur realistyczny należy do świata duchów. Ludzie bowiem wibrują jak drzące cienie, gestykulują z zachwyceniem oporem rozpoetyzowania.

#### „TEATR OGROMNY”

Po straszliwej próbie naszych dni, jaką zwycięsko wytrzymuje „Wesele” — można wyprorokować, że utwór ten zawsze będzie czarował, zachwycał i zarazem, w niektórych partiach — budził sprzeciw. Zawsze będzie żywy, choć zmieniać się będzie perspektywiczny układ szczegółów lub całych części. „Wesele” —

#### TADEUSZ PEIPER

## Wśród mroków

Obciążając swe postacie nałogiem samookreślenia się, a zarazem brakiem pamięci, czyni z nich Anna Świrszczyńska osobniki nieco niejasne. Każda z postaci uważa za obowiązki składać o sobie wiele oświadczeń, utwór zaś, nie potwierdzając ich, okala je pęknięciami i rozdarciemi czarnymi od mroków. Lecz czymże jest nawet otchłań wobec czarów nitki, gdy władza nimi wybitna poetka! Nie ma takiej otchłani, której by nie można zacerować! Zaświadcza to o Świrszczyńskiej jej Orfeusz i Eurydyka, jeśli weźmiecie ich na bok i poprosicie o poufną rozmowę.

Oto Orfeusz mówi:

— Od mamy łekliwej i dla której śmiech nie miał swych łask, otrzymałem nakaz: uczyni z lęku najważniejszą sprawę świata, a za najskuteczniejszą broń przeciw lękowi ogłosi śmiech! To właśnie czynię. Wprawdzie nie udało mi się wytworzyć ani jednej sytuacji radosnej czy choćby wesołej, wprawdzie nie zdobyłem się ani na jedną replikę dowcipną, wprawdzie humor mój jest tylko marzeniem o humorze, ale nie trapię się tym wcale, bo przecie wszystkie te braki dwa razy zastąpiłem mistrzowsko, posługując się prostym wyczynem gardlanym: uroczym chachacha! Aby takim śmiechem ujarzmiłem lęk, mógłbym być futbolistą, ewentualnie konikiem areny cyrkowej, ale mama chciała, żebym był poetą i filozofem. Trudno. Jak z moim zadaniem życiowym połączyć poezję, tego jasno nie widzę, więc na wszelki wypadek, ile razy podaję się za poetę, podaję się także za opilca szukającego kompanii wesołej i sprośnej. Z filozofią jest już lepiej. Wiele mowię o śmiechu. I oczywiście mówię o nim bardzo mądrze. Na przykład: „Śmiech zorganizował chaos”. Zapewne znajdują się nieliczni, którzy powiedzą, że jestem filozofem. Co bańki noszę puszcza, ale będą to pedanci, bo ważne jest nie miejsce pochodzenia baniek, ważny jest proces psychiczny przewzięcia lęku i śmierci, a z niego wynika niezbędnosc baniek, i to wielkich, więc rozległe pustych. Wyposażony w tak zwycięskie gatunki broni, bylibym był na pewno spełnił moje zadanie życiowe, gdyby nie kobieta. Pokochałem Eurydykę, a umarła. Postanowiłem wydobyć ją z Hadesu, bo w nas, którzy niestety nie jesteśmy tylko cielesnością, znaczy cielesność tak wiele, że dla odzyskania ciała Eurydyki, bez którego żyć nie mogłem, zdecydowałem się na najgroźniejsze, na zejście w krainę śmierci, skąd mogłem już nie wrócić. Nieliczni powiedzą może, że takie przywiązanie się do jednej kobiety przeczy mojej poezji, mojej filozofii, nawet mojemu czarodziejskiemu chachacha, ale w tym, co robię i mówię, jest więcej sprzeczności, a skoro jest ich więcej, to ta nie jest ważna. Z pełnią konsekwencji poszedłem więc do Hadesu, aby wydobyć z niego Eurydykę. Persefona, bogini piekła i tyjca szefowa jego lokalów rozrywkowych, skarzyła mi się naprzód na ich ograniczony repertuar i zwierzała mi się, że przynębia ją tu brak wrażeń i nuda. Pomyślałem sobie: kobieta, więc się nudzi. Potem powiedziała mi, że piekło nauczyło ją rozkoszy okrucieństwa; jak jedna wypowiedź godzi się z drugą, nie rozumiem, jestem jednak pewien, że jakaś łączność między nimi jest, tylko Persefona powinna coś w sobie zacerować. Zresztą niech

ten utwór intelektualny, filozoficzny, ta cięta satyra społeczno-polityczna — jest zarazem najtrafniejszą przenośnią teatralnego piękna. Wszystkie utwory Wyspiańskiego, mimo licznych zastrzeżeń — mają tę rzadką właściwość, że istnieją przez teatr, że nawet ich błędy i przepaści — teatr ratuje i w jakiś sposób umniejsza.

Wyspiański, jak każdy nowator i rewelator formy — stworzył dotąd nieodkryty i nie dość dobrze zanalizowany zespół środków artystycznych, którymi się posługuje materializując swoje wizje. Powiedzieć: stop elementów słuchowo-dźwiękowo-plastycznych? — Mało. Sugest

stwy rodzaj wyobraźni? Ależ Słowacki robił to nieporównanie lepiej! Swoista magia i symbolika? — Być może, lecz i to nie jest zadowalającą odpowiedzią.

Wyspiański uderzył niewątpliwie w nowe i prawie nieznanne klawisze tego wszechstronnego instrumentu, jakim jest teatr. Odgadł jego mowę. Zbadał włókna techniki. Przemierzył przestrzeń: „dwadzieścia kroków wzdłuż i w szer”. Zapenił ją ludźmi. Rozdzielił role. Teatr swój nazwał „teatrem ogromnym”. Nazwa niezbyt szczęśliwa.

Lecz, czy mamy lepszą?

Jerzy Zawieyski

tam sobie będzie jak chce, bo w całkowitej niezależności od tego i tak mi Eurydykę wydała. Wystarczyło mi powiedzieć, że kochałem tę kobietę nie dlatego, że była piękna, lecz że była dziecinna i słaba i że ciągle bałem się bliskiej jej śmierci, a szefowa piekła zaraz usłyszała w moim głosie muzykę i z nieoczekiwaną błyskawicą ujawniła jeszcze jeden rys swego seryjnego charakteru: miłośerność. Tak łatwutko otrzymałem od niej pozwolenie, jakiego nie otrzymałem jeszcze żaden ze śmiertelnych. Ale cóż, żona nie chciała ze mną iść. Wyczułem, że to, co podawała za motyw odmowy, było okropne, ale nie umiem tego powtórzyć jasno, niech ona sama mówi.

Eurydyka:

— Mam lat piętnaście, a kiedy wyszłam za Orfeusza, też miałam lat piętnaście. Marzyłam o tym, aby być syreną, która uwodzi chłopców, ponieważ jednak człowiek jest jak mysz doświadczalna, której szczerpią chorobę moralności, krepowały mnie zakazy moralne. Nie mogąc realizować mych syrenich marzeń, nudziłam się, z nudów umierałam. A skoro umierałam, poszłam w świat umarłych, tym chętniej, że wiedzie do niego Hermes, a Hermes jest chłopcem. Idąc za nim, czułam, że skoro tylko natrafimy na ciemność, pocałuje mnie. I rzeczywiście w ciemnościach Hadesu stało się. Wtedy odeszło ode mnie niebo i piekło, odeszło pojęcie i grzech, objął mnie płomień, zaczęłam palić się jak stos pereł, czułam pienistość i ciepło. Rozkochałam się w idealnych ciemnościach, bo w nich tylko miłość może być amoralna. Tu jestem szczęśliwa. Chcę, żeby było ciemno, bardzo ciemno, nie wyjdę z Orfeuszem na światło.

Orfeusz:

— Kochałem Eurydykę tak bardzo i tak wyłącznie, że dla jej odzyskania przedsięwziąłem najniebezpieczniejszą z wypraw, wyprawę w krainę śmierci. Nie chciała ze mną iść, to nie. Nie będzie ta, to będzie inna. W górach mieszkają Menady, kobiety kosmate, z długimi i nigdy nieczesanymi włosami, z kawałami skór zarzuconymi na brudne ciała. Zaczęłam gaskać kudły jednej z nich.

Tu przerywam ja:

— Bardzo przepraszam, że ośmielałam się przerwać i wrzucić kilka głupstewek. Pańskie stosunki z Menadami... Mit o Orfeuszu, jak wiele innych, jest tworem pierwszych historyków człowieka, starców opowiadających ciekawym wyniki swej wiedzy o pradziejach. W miocie tym, jak w wielu innych, pierwsi historycy człowieka złożyli swe wyobrażenia o odległej, mrocznej przeszłości, wyobrażenia, w których — choć z biegiem czasu ulegały przekształceniu — przeszłość owa daje się rozoznać. Utrwały się w nich dwie epoki ludzkich dziejów... Bardzo przepraszam za wprowadzenie tak pospolitych pojęć jak dzieje, epoka, historycy... Dwie epoki, z których pierwsza jest epoką pół-zwierzęcości, druga epoką wkraczania w człowieczeństwo. Wcześniejsza nie przestała działać nawet przy największym rozkwicie późniejszej. Życiowe nakazy jednej i drugiej prowadziły do namiętnych starć między ludźmi, do krwawych rozpraw, do bojów. Menady są upostaciowaniem pierwotnego człowieka, tkwiącego jeszcze w życiu zwierzęcym, Orfeusz upostaciowaniem pioniera człowieczeństwa koncepcji życia i miłości. Daje

pieśniarskim opanowywaniu zwierząt, satyrów, ludzi dzikich i kobiet, w opanowywaniu, które jest opowieściowym symbolem opanowywania zwierzęcości w człowieku; dążenia Orfeusza utrwały mit także w jego stosunku do Eurydyki, w którym napotykał jeden z pierwszych przejawów miłości upajającej się jedną kobietą i wielbiącej tę właśnie wyjątkowość... Bardzo przepraszam za te wszystkie głupstewka, mówię je po to, aby je spławić jeszcze jednym głupstwem: nowoczesny poeta, posługując się Orfeuszem mitycznym, da utwór tym bardziej drgający sprawami naszych czasów, im głębiej wykorzysta dane mity; jest ich dość, aby pięknie i mądrze ustosunkować do siebie nową poezję, nowe życie, nową miłość i starą śmierć. Słowacki, który kilka razy błyska mitem o Dejanirze i który czyni to niezbyt szczęśliwie...

Orfeusz:

— Słowacki mnie nie obchodzi, obchodzi mnie Świrszczyńska.

Ja:

— W takim razie wracam do pańskich Menad. Chodzi mi o ich miejsce w pańskim świecie. Ponieważ Menady mają pana rozszarpać i może nawet pożyć, musi istnieć między wami jakiś zasadniczy konflikt, a nie łatwo go wytworzyć między nimi a panem, bo taki, jaki pan jest z nakazu mamy, nie może pan być ich zasadniczym wrogiem. W tej podstawowej trudności ukrywa się przyczyna, dla której pańskie Menady, choć bez przerwy podają o sobie wielosłowne samookreślenia, m u s z a być nieokreślone i dowolnie zmienne. Raz, aby być przeciwstawieniem pańskiej walki z lękiem, wyją coś o lęku; innym razem, aby być przeciwstawieniem pańskiej gloryfikacji śmiechu, wyją coś o cierpieniu; innym razem kuszą pana pijaństwem, grzechem, dionizyjską ekstazą, zwierzęcością, i czynią to tak, jak gdyby tym przeciwstawiły się panu, a przecie pan nie może tego uważać za przeciwstawienie się zasadnicze, skoro we własnym poemacie występuje pan jako opilec i barbarzyńca, kompan sprośnych Centaurów i ich swawolnych kochanek, a więc towarzysztwa, które w sprawach filozofii i elegancji reprezentuje stadium jeszcze bardziej pierwotne niż Menady.

Orfeusz:

— To są drobiazgi. Skoro w ostatniej scenie Menady mają mnie pożyć, muszę zapamiętać o tym, co w poprzednich scenach mówiłem ja i co mówiły one.

Szkoda, że ten Orfeusz i jego żona nie weszli w takie poufne rozmowy z Otwinowskim i Woźniakiem; byłiby po kilku komplementach otrzymali radę, która wyszłaby na dobre im i nam. Mimo to przedstawienie u-

tworu Świrszczyńskiej dało nam dwie niewątpliwe korzyści:

1. Ukazało nam w Kosińskim nie tyle jakie możliwości. Sposób, w jaki urządza scenę, daleki jest jeszcze od osiągnięcia zadowalających całości, ale wnosi już szczegóły, którym należy się oklask. Kawiarnia ujawnia próbę nowego podziału przestrzeni scenicznej, próbę na razie niewyrazistą, wykonaną niepewnie, ale w której mogą być zadatki przyszłych wartości. Wśród gór oglądamy drogę, która jest świetną sceniczną konstrukcją. W Hadesie obserwujemy pomysł, użyty swego czasu przez Reinhardta przy wystawieniu drugiej części „Fausta” i potem nieraz stosowany, a polegający na wykorzystaniu sceny obrotowej dla przenoszenia figur w inne miejsce akcji; ale Kosiński wydobyl z obrotu sceny frapujący i — jako gatunek efektu — może dotąd w teatrze nieznanny ruch bryły. Przykre, że szczegóły tak dobrze pomyślane, tkwią w innych, spartaczonych.

2. Przedstawienie utworu Świrszczyńskiej doprowadziło do absurdu nałóg naszych reżyserów, rzucając ich bez opamiętania po napój muzyki. Ile razy nie umieją dać sobie rady z utworem, ile razy nie umieją ożywić go sposobami aktorskimi czy reżyserskimi, ile razy lękają się monotonii i nudy, sięgają po ratunek do wstawek muzycznych. Ten fałsz artystyczny zaczyna już drażnić.

Tadeusz Peiper

#### KONKURS

Pod protektorem dr. Józefa Putka, ministra Poczt i Telegrafów, w czasie do 31 grudnia 1946 r. odbędzie się z inicjatywy Sp. Wyd. „Czytelnik” ogólnopolski powszechny konkurs pt.:

„JAK DOSTARCZYĆ SŁOWO Drukowane NA WIEŚ”

Nagrody wynoszą zł. 50 000. Konkurs jest organizowany przez powołany w tym celu Komitet Konkursowy, w skład którego wchodzi przedstawiciele: Ministerstwa Informacji i Propagandy, Min. Komunikacji, Min. Oświaty, Min. Poczt i Telegrafów, Związku Gospodarcz. R. P. „Spolem”, Zw. Nauczycielstwa Polskiego, Związku Samopomocy Chłopskiej, Polskiego Radia, Sp. Wyd. „Książka”, Sp. Wyd. „Nowa Epoka”, Sp. Wyd. „Wiedza” i Sp. Wyd. „Czytelnik”.

Cel konkursu: Konkurs ma na celu zwiększenie czytelnictwa na wsi przez stworzenie warunków docierania słowa drukowanego — w postaci pism codziennych i czasopism — do ludności wiejskiej. Warunki konkursu: 1) konkurs polega na znalezieniu realnych sposobów, które by umożliwiły praktycznie — szybko, stale i punktualnie — docieranie na wieś wszelkich wydawnictw z tych miast, w których są one drukowane;

2) udział w konkursie brać może każdy obywatel Państwa Polskiego, zamieszkujący w jego granicach;

3) prace swe uczestnicy winni nadsyłać na adres: Komitet Konkursowy „Jak dostarczyć słowo drukowane na wieś?”, Warszawa, ul. Daszyńskiego 14 (dawn. Wiejska);

4) prace konkursowe powinny być opracowane zwięźle (wskazane jest, by nie przekraczały 2 stron papieru formatu biurowego lub 4 stron papieru zeszytowego) i napisane bardzo czytelnie lub na maszynie. Prace napisane nieczytelnie nie będą rozpatrywane;

5) wszystkie prace konkursowe muszą być nadsyłane w kopercie zamkniętej i podpisanej tylko godłem dowolnie obranym; druga koperta zamknięta, opatrzona tymże godłem winna zawierać kartkę z nazwiskiem, imieniem, określeniem zawodu i dokładnym adresem autora;

6) nadsyłane pomysły konkursowe powinny uwzględniać m. in. następujące momenty: a) nie wszystkie wieś posiadają urząd pocztowy, b) nie wszystkie wieś leżą przy stacjach kolejowych i autobusowych, c) w jaki sposób mieszkańcy wsi, którzy przez dłuższy okres czasu jej nie opuszczają, mogą stale otrzymywać i czytać wydawnictwa, d) znane ogólnie i stosowane obecnie sposoby kopiowania nie mogą być przedmiotem prac konkursowych. Chodzi o pomysły nowe;

7) za najlepsze pomysły, które praktycznie nadawać się będą do wykonania w terenie, będą przyznane przez Sad Konkursowy następujące nagrody: I nagroda — zł. 20 000.—, II nagroda — zł. 15 000.—, III nagroda — zł. 10 000.—, IV nagroda — zł. 5 000.—;

8) termin nadsyłania prac konkursowych upływa z dniem 31 grudnia 1946 r. Miarodajna jest data stempla pocztowego;

9) w dniu 31 stycznia 1947 r. odbędzie się ogłoszenie wyników konkursu za pośrednictwem prasy i radia, z podaniem nazwisk autorów najlepszych prac;

10) Komitet konkursu zastrzega sobie prawo nieprzyznania żadnej nagrody, jeśli nadane pomysły okazały się nierealne, lub też rozdzielenia kwoty konkursowej w inny sposób, zaprojektowany przez Sad Konkursowy;

11) projekty nagrodzone stają się własnością ogółu.

## ROBOTNICZY PRZEGLĄD GOSPODARCZY

Ukazał się numer 6 o następującej treści:

W rocznicę rewolucji rosyjskiej 1917 r. — O sytuacji gospodarczej kraju, — W. Sokorski: Związki Zawodowe a partie polityczne. — K. Rusinek: Kto ma budować. — J. Kowalczyk: Droga wycieczki — w 29-letnią rocznicę Rewolucji Październikowej. — J. Kafman: Plan Odbudowy Gospodarczej. — Z. Gross: Przemiany ruchu zawodowego w Polsce. — Cz. Kulikowski: Uwagi na temat sprawy urzędniczej. — A. Bardach: Współdziałanie nauki z pracą. — L. Marek: 2.000.000. — Na froncie odbudowy. Odbudowa przemysłu na Ziemiach Odzyskanych. — Nowe Książki. — Ruch związkowy w Polsce. — Światowy ruch związkowy. — Polityka społeczna. — Przegląd gospodarczy.

# Biblioteczny alarm

Od pewnego czasu pojawiają się w prasie napaści skierowane pod adresem Biblioteki Jagiellońskiej, przez laików. Ta metoda krzywdzących uogólnień nie przyczyni się bynajmniej do zablźnienia ran, jakie zadała wojna polskiemu bibliotekarstwu, stworzy tylko atmosferę nieufności wokół tak poważnej i dla kultury polskiej dobrze zasłużonej instytucji, jaką była zawsze i jest Biblioteka Jagiellońska.

Artykuł St. Urbańczyka pt. „Karygodne zaniedbanie” („Odrodzenie”, nr 46) porusza niewątpliwie niesłychanie ważną i palącą sprawę egzemplarza obowiązkowego dla bibliotek, ale czyni to w sposób bezplanowy i posługuje się argumentami niewspółmiernymi do ważności sprawy. Dlatego wymaga, zarówno pro publico bono, jak i pro domo sua, pewnych sprostowań, wyjaśnień i uzupełnień.

Otóż, wbrew temu, co stwierdza autor, Biblioteka Jagiellońska, posiadająca kilkaset czasopism bieżących, prowadzi stale urgensy o poszczególne numery, a jeśli idzie o czasopisma wychodzące w Krakowie, to stara się je ściągnąć bezpośrednio przez swoich kursorów i wyzyskać każdą sposobność, nawet osobiste kontakty i znajomości bibliotekarzy z wydawcami, redaktorami itp., byle tylko zdobyć poszczególne numery pism, egzemplarze książek czy nut. I trzeba przyznać, że tą drogą „niezaradny” bibliotekarz odnosi największe sukcesy. Ale mniejsza o to, inna sprawa jest ważniejsza.

Dnia 30 listopada 1944 r. wyszło w Lublinie rozporządzenie kierownika resortu oświaty, wydane w porozumieniu z kierownikiem resortu administracji publicznej, w sprawie egzemplarza obowiązkowego (Dziennik Ustaw Rz. P., Lublin, 11 grudnia 1944, nr 14, poz. 77). Znaczna część kraju pozostawała jeszcze wtedy pod okupacją niemiecką; los bibliotek, pełniących dawniej funkcje okręgowe, był wskutek przesuwającego się wciąż frontu niewiadomy, toteż sprawę egzemplarza obowiązkowego przerzucono wówczas, zdawało się najracjonalniej, na kuratoria, jako podstawową komórkę organizacyjną spraw oświatowych. Obecnie kuratoria dostają tylko znikomą ilość należnych książek i czasopism, jest więc zupełnie jasne, że przekazywanie egzemplarza obowiązkowego dawnej bibliotece okręgowej za pośrednictwem kuratorium akcji nie usprawnia, przeciwnie, powoduje znaczne braki i jest przyczyną, że numery czasopism, a coż dopiero dzienników bieżących, dostają się do rąk pracownika naukowego z opóźnieniem.

Nie dość na tym, wydawcy nie respektują w pełni dziś obowiązującego, a będącego właściwie anachronizmem, rozporządzenia dlatego, że przeciążają się ich nadmiernie obowiązkiem dostarczania publikacji dla celów administracji ogólnej. Przed wojną, według ustawy o egzemplarzu obowiązkowym, wydawca obowiązany był dostarczyć dla celów bibliotecznych dziesięć egzemplarzy, co łącznie z analogicznym świadczeniem na rzecz administracji, podnosiło tę liczbę do 15 egzemplarzy. Teraz liczba ich wzrosła do kilkadziesiąt. Wobec takiego stanu rzeczy łatwo zrozumieć odruch buntu, z jakim przyjmuje wydawca wszelkie biblioteczne przynaglenia czy żądania.

Sprawę egzemplarza obowiązkowego trzeba jak najrychlej unormować i załatwić z korzyścią dla bibliotek okręgowych. Wie o tym dobrze i w tym kierunku zmierza świat bibliotekarski w Polsce, bynajmniej nie pogrążony w marazmie. W tym roku załatwiono już kilka niesłychanie ważnych kwestii. Dnia 31. I Rada Ministrów uchwaliła dekret o bibliotekach i opiece nad bibliotekami, zatwierdzony ostatecznie 16. IV przez prezydium KRN, dalej 12. III zarządzenie ministra oświaty powołano do życia Naczelna Dyrekcję Bibliotek i wreszcie 22. III ukazał się dekret o utworzeniu Państwowego Instytutu Książki. Jeśli się zważy, że postulat powszechności bibliotek, o który walczył polski bibliotekarz od 1921 r., prawnie zre-

alizowano, że dzięki Państwowemu Instytutowi Książki zyskała realną podstawę naukową organizacja bibliotekarstwa, że tworząc Naczelna Dyrekcję Bibliotek przeprowadzono także poważne i pozytywne zmiany w ustroju polskiego bibliotekarstwa — i wreszcie, że to wszystko stało się w ciągu krótkiego czasu wojennego i po zniszczeniach spowodowanych przez Niemców — to sukcesy, jakie osiągnięto, są naprawdę ogromne i świadczą chlubnie o inicjatywie „niezaradnego” bibliotekarza.

Niestety prawdą jest, że bibliotekarz, choć miał pełne kwalifikacje naukowe, zaczynał często pracę nawet nie w stopniu woźnego, ale bibliotecznego gońca czy bezpłatnego wolontariusza-praktykanta Biblioteki Jagiellońskiej. W wielu wypadkach rezygnował dobrowolnie z kariery, jak to uczynił znakomity twórca Bibliografii Polskiej Karol Estricher, który nad laury prawnicze przekładał ofiarą i mrówczą pracą w Bibliotece Jagiellońskiej. Na szczęście prawdziwi bibliotekarze-ofiarnicy nie są dzisiaj unikatami. Dość wspomnieć chociażby obecnego naczelnego dyrektora Bibliotek, dr. Józefa Grycza, wybitnego teoretyka i praktyka, którego do pracy w umiłowanym zawodzie nie zniechęciło stano-

wisko bezpłatnego wolontariusza w tejsze biblioteki, ponieważ nie było etatu.

Trzeba również podkreślić, że w czasie okupacji bibliotekarze polscy dali wiele dowodów hartu, poświęcenia i przywiązania do swej biblioteki. W wielu wypadkach tylko dzięki ich gorliwości i sprytności udało się ocalić bezcenne skarby naszego piśmiennictwa. A warto by się też zainteresować bibliotekami zorganizowanymi od nowa w Gdańsku przez dr. M. Pelczara, w Szczecinie przez p. Siadkowskiego, i święcącą niedawno (17 listopada) swoje dwudziestopięcioletnie książnicą bydgoską, którą kieruje dr. Beza, syn znanego pisarza. Bibliotekarz, a już zwłaszcza pracownik naukowy Biblioteki Jagiellońskiej, potrafi zdobyć i skompletować różne rarissima, jak np. cenne zbiory starych druków ulotnych, teki polskiej grafiki, nuty itp. I z tego trzeba sobie zdać sprawę, bo, mimo nawet najdalejszego opracowania ustawy o egzemplarzu obowiązkowym, tylko indywidualna zapobiegliwość bibliotekarza może dostarczyć bibliotece macierzystej takich materiałów jak np. francuska reprodukcja „Warszawianki” De La Vigne’a z czasów powstania listopadowego, użyczona niedawno do zilustrowa-

nia jednego z numerów „Żołnierza Polskiego”.

Nie zawsze jednak wystarczą dobre chęci pracownika bibliotecznego; pewne sprawy wymagają zrozumienia władz i społeczeństwa. Za czasów austriackich, a i później, aż do minionej wojny, cenzura nadsyłała Bibliotece Jagiellońskiej druki skonfiskowane, których oczywiście nie wolno było oddawać do użytku czytelników; mimo to jednak przechowywano je troskliwie pod zamknięciem, w tym rozumieniu, że publikacje z różnych względów na razie szkodliwe czy niebezpieczne dadzą w przyszłości pełny obraz naszej kultury oraz prądów politycznych, społecznych czy religijnych, nurtujących w danej epoce historycznej.

Od dawna przyjął się także piękny i chwalebny zwyczaj, że uczeni, literaci i bibliotekarze poczytywali sobie za zaszczyt ofiarować swe prace z własnoręcznymi dedykacjami Bibliotece Jagiellońskiej, że darowali jej swe autografy i zbiory listów, a także własne skompletowane księgozbiory.

I dziś potrzeba nam ludzi, którzy by zechecieli dopomóc bibliotekarzom nie tylko w sprawie egzemplarza obowiązkowego, ale też w propagandzie czytelnictwa i poszanowania książki, a nadto przyczynili się do wzbogacenia zbiorów naszych księżnic narodowych, tj. Biblioteki Jagiellońskiej i Biblioteki Narodowej w Warszawie.

Irena Barowa

## OBYWATELU MINISTRZE, CZY PAN WIE... \*)

— że Polska jest jedynym spośród kulturalnych państw na świecie, które nie posiada ani jednej stałej sali koncertowej?

— że, gorzej jeszcze, bo sale te były, a obecnie ich nie ma? (np. w Krakowie przed wojną były dwie sale koncertowe, tj. Stary Teatr i Sala Saska, obie przerobione obecnie i zajęte przez teatry dramatyczne);

— że artysta czy Biuro Koncertowe, chcąc urządzić koncert, musi płacić odstępne kinofikacji, np. w Krakowie za jednorazowe użycie sali kina „Scala” 25 000 zł, a kina „Swit” 40 000 zł, co z góry przekreśla jakąkolwiek kalkulację organizacji koncertu?

— że wobec powyższego Centr. Biuro Koncertowe w ubiegłym sezonie zmuszone było odwołać szereg koncertów, a w obecnym nie zorganizowało dotychczas ani jednego?

— że w okresie wolnej inicjatywy prywatnej, tj. przed wojną, organi-

\*) Przedruk z „Ruchu Muzycznego”, nr 20—21.

zacja koncertu wynosiła 30% od brutta, a obecnie w dobie szeroko głoszonych haseł upowszechnienia kultury, organizacja koncertu w najszczęśliwszym i b. rzadkim wypadku wynosi najmniej 70% od brutta?

— że Centr. Biuro Koncertowe, oddział w Krakowie, otrzymało „subwencję” miesięczną na urządzanie koncertów w kwocie 3 000 zł, (tak!) co w porównaniu choćby tylko z jednorazowym kosztem wynajęcia sali w kwocie 40 000 zł brzmi zgoła nieprawdopodobnie, a właściwie humorystycznie?

— że mimo iż dekret P. K. W. N. zapowiedział otoczenie przez Państwo opieką ludzi nauki i sztuki, to dotychczas nikt z koncertujących solistów, muzyków, śpiewaków, tancerzy, opieki tej nie odczuł i że gorzej jeszcze, bo nikt, poza dosłownie może paroma wyjątkami, ze swej pracy zawodowej nie żyje, bo wyżycie nie jest w stanie?

— że wobec zamierania ruchu koncertowego i ucieczki młodszych

sił do rentowniejszych zajęć jak handel, staje pod znakiem zapytania cała akcja szkolnictwa muzycznego, wydawnictw muz., organizacji biur koncertowych, w ogóle upowszechnienia i nawet przyszłości naszej kultury muzycznej?

— że 90% naszych tancerzy, w poszukiwaniu chleba błąka się po parkietach lokali dancinowych, że każda lepsza siła ucieka z baletów oper do lokali, bo z paru tysięcy zł gaży miesięcznej wyżycie nie może, że tancerz czy tancerka solistka, która ma ambicję artystyczną i nie chce pójść na parkiet, nie wie co ze sobą począć, bo koncertować w obecnych warunkach nie może?

— że podczas, gdy w Rosji istnieje kilkadziesiąt znakomitych zespołów tanecznych, ze słynnym baletem Mojsiejewa na czele, to w Polsce mimo posiadania jeszcze kilkudziesięciu pierwszorzędnych sił tanecznych, a więc liczby wystarczającej na stworzenie jednego wielkiego baletu z prawdziwego zdarzenia, do

Janina Kulczycka Saloni. Bolesław Prus. Łódź, „Polonista”, 1946; str. 178.

Rok jubileuszowy Prusa przyniósł pracę poświęconą omówieniu działalności autora „Lalki”, pióra Janiny Kulczyckiej Saloni. Autorka przeznaczyła ją przede wszystkim dla starszej młodzieży szkolnej, pragnąc zbliżyć do Prusa współczesnego młodego czytelnika, pokazać mu pisarza na tle epoki i uświadomić mu, czym może być i czym być powinna bogata spuścizna znakomitego powieściopisarza. Cel ten osiągnęła prawie w zupełności. Czytelnik mało dowiaduje się wprawdzie z tej pracy o samym życiu Prusa, niewiele zdobywa informacji o Prusie jako dziennikarzu, a nawet o Prusie jako człowieku, ale z wielkim pożytkiem czyta rozbiór czterech głównych powieści Prusa: „Lalki”, „Lalki”, „Emancypantek” i „Faraona”, a w ostatnim rozdziale pracy raz jeszcze może ocenić wielkość i wszechstronność jego dorobku. Najmniej przekonująca jest dla Saloni „Lalka”, jako szczytowo osiągnięcie traktuje „Faraona”, gorąco zaleca jednak „Lalkę”, powtarzając o niej sąd samego Prusa: kto „Lalkę” przeczytał — wiele przeczył. Nie na wszystkie wywody autorki można się zgodzić, wiele sądów wywołuje sprzeciw, z przyjemnością chwytają się jednak wiele spostrzeżeń nowych i trafnych. Ogłoszony fragment monografii „Elementy humoru w „Faraonie” Prusa” w numerze 7—8 „Nauki i sztuki” zapowiada przygotowywanie większej pracy na temat Prusa, można więc polemikę odłożyć na potem. Tymczasem wystarczy informacja — przeczytajcie wario.

Dr Feliks Araszkiewicz. Pozytywizm polski. Lublin, „Lamus”, 1946; str. 40.

Dwanaście lat temu ogłosił prof. Aureli Drogoszewski zwięzły szkic pt. „Pozytywizm polski”. Nakład jest dawno wyczerpany. Dr Araszkiewicz, który zajmuje się badaniem tej epoki, przyszedł teraz uczącym się z pomocą, omawiając w podobnie zwięzłej broszurze, w sześciu rozdziałach, najważniejsze przejawy tego ważnego okresu naszej kultury. Ma my więc naprzód zarys stosunków polityczno-społecznych w Polsce po powstaniu styczniowym, potem omówienie reakcji przeciw romantyzmowi politycznemu, wywód o pozytywizm Comte’a i na tym dopiero tle ocenę pozytywizmu krakowskiego i warszawskiego. Końcowy rozdział, zestawiający dobre i złe strony polskiego pozytywizmu, stwierdza, że największą jego zasługą było wprowadze-

## WSRÓD KSIĄŻEK

nie Polaków w dziejową orbitę nowoczesnej Europy. Szkic jest napisany przejrzysto i dość wyczerpująco.

Janon Klemensiewicz. Gramatyka współczesnej polszczyzny kulturalnej w zarysie. Wrocław—Warszawa, Książnica-Atlas, 1946; str. 180.

Nowe wydanie poszukiwanej pilnie książki powiatą z ulgą przede wszystkim tak liczną obecnie studentów polonistyki i uczniowie zakładów kształcenia nauczycieli, bo oni głównie uczą się z Klemensiewicza. Jasny wykład wybitnego metodyka czyni ten ważny podręcznik zajmującym dla licznych miłośników języka polskiego, pragnących się bliżej zapoznać z zagadnieniem, czym jest język, jakie jego stanowisko, jak wygląda współczesna kulturalna polszczyzna. W trzech obszernych rozdziałach: nauka o głosie, nauka o wyrazie i nauka o zdaniu poucza prof. Klemensiewicz o najważniejszych zjawiskach językowych.

POLSKIE WYDAWNICTWO MUZYCZNE KRAKÓW, UL. BASZTOWA 23

Skład główny:

Kraków, Św. Jana 3, T. Gieszczykiewicz  
Warszawa, Krucza 46, M. Idzikowski

Do nabycia we wszystkich księgarniach

### KOLEDY

- F. RACZKOWSKI: 7 Kolęd na chór mieszany 4 głos. z organami a cappella (Opracowanie. Łatwy układ) . . . 70.-
- K. WILKOMIRSKI: 2 Kolędy na chór mieszany 4 głos. a cappella (Muzyka własna. Łatwy układ) . . . 40.-
- B. RUTKOWSKI: 10 Kolęd na chór szkolny lub żeński 3-4 głos. Wydawnictwo T. W. M. P. (Opracowanie. Średni stopień trudności) . . . 50.-
- W. RACZKOWSKI: 6 Kolęd na fortepian na 4 ręce (Opracowanie. Łatwy układ) Wydanie ozdobne . . . 120.-
- W. LUTOSŁAWSKI: 20 Kolęd na głos z fortepianem (Opracowanie. Akompaniament trudniejszy) . . . 250.-

Przerobienie tego podręcznika powinno się stać nakazem dla każdego Polaka, który chce zabrać głos w sprawach mowy ojczystej.

E. Romer. Mały Atlas Geograficzny. Wydanie 14. Wrocław—Warszawa, Książnica-Atlas.

Zorganizowanie Romerowskiego Instytutu przy wrocławskim uniwersytecie w styczniu br. umożliwiło wydanie nowego opracowania wartościowego atlasu. Przynosi on mapę Polski w nowych granicach, osobno podaje mapę zachodniej Słowiańszczyzny, jako nowość reprodukuje mapę ZSR, z dużą ilością informacji. To poświęcenie uwagi zagadnieniu słowiańskiemu stanowi zdobywcę nowego wydania. Poważniejszym zmianom uległy także mapy dziedzin polarnych. Zanotowano w nich po raz pierwszy ostatecznie odkrycia Amerykanów, Anglików i Niemców, które zmieniły całkowicie dotychczasowy obraz Antarktydy. W tablicy „Krajobrazy” wprowadzono mapki Ziemi Odzyskanych: Zalew Szczeciński, Karkonosze i wycinek Pojezierza Mazurskiego. Całość przynosi 12 stron czysto odbitych, a pozycję 16.

Stanisław Iłowski. „Dziady” Adama Mickiewicza opracowane na scenę jako ludowe misterium żądusze. Warszawa, Ludowy Instytut Oświaty i Kultury, 1946; str. 40. — Także jest książką moc (Sad nad „Latanikiem”). Sad inscenizowany według noweli H. Sienkiewicza. Warszawa, Tow. Teatru i Muzyki Ludowej, 1946; str. 20.

Stanisław Iłowski ma w awym instruktorskim dorobku kilka dobrych inscenizacji, przeznaczonych dla zespołów teatru ludowego. „Dziady” ukazują się w jego opracowaniu już w drugim, uzupełnionym wydaniu, co świadczy, że były często na warsztacie. Iłowski z należytym Mickiewiczowski szacunkiem nie w nich nie zmienia, nie nie dodaje, stara się tylko zespołom ochotniczym ułatwić zrozumienie i wystawienie misterium. Wskazówki i sugestie są trafne i mogą doprowadzić do ciekawego ujęcia widowiska. Znaczną dowolność przynosi natomiast opracowanie sadu nad Skawińskim z noweli Sienkiewicza. Tekst noweli uzupełnia autor fragmentami z książki Russella i Orsiniego, mając na uwadze głównie propagandę książki. Ponieważ „Latanika” zalicza się słusznie do arcydzieł naszej nowelistyki, ta swobodna przeróbka nie zyska tak wielu zwolenników.

Stefan Pappe

tej pory baletu takiego nie ma i czy fakt ten można tłumaczyć jedynie finansową sytuacją Państwa?

— że artysta-solista zarabiał przed wojną w Radio za 3—4 audycje w miesiącu od 200 do 300 zł, co sfinansowało podstawę jego egzystencji, podczas gdy obecnie otrzymuje za tę samą ilość audycji od 2 do 3 tys.?

— że Opera w Krakowie, nie otrzymując żadnych subwencji ze strony Państwa, musi jeszcze, wbrew jakiegokolwiek zdrowej logice, za jednorazowe odstąpienie sali teatru im. J. Słowackiego płacić dramatowi 60 000 zł?

Obywatelu Ministrze, pytań podobnych nie spisałby i na przyszłowiej wołowej skórze, więc lepiej przejść od razu do syntezy i konkluzji. Jako dzieci epoki materializmu historycznego wiemy dobrze, że fakty ekonomiczne determinują procesy społeczne, a więc i kulturalne. Czyli po chiopsku powiedziawszy, dopóki nie zostaną stworzone materialne warunki, dające zdrowe podstawy pod ruch koncertowy, dopóty artysta nie tylko nie będzie na zapowiadany świeczniku społecznym, lecz będzie musiał poważnie zastanowić się co dalej ze sobą począć. Jaki wpływ ma to i mieć będzie na naszą kulturę, nie trzeba chyba wyjaśniać.

Nie uzdrowi anormalnej sytuacji przyznanie tych czy innych subwencji. Subwencjonować zresztą należy tylko te działy sztuki, które przy najlepszej organizacji muszą być z natury rzeczy deficytowe, np. opera, filharmonia.

Należy stworzyć dla Związku, Biur Koncertowych i w konsekwencji artystów możliwości stałych i niezależnych dochodów, przez 1) przydzielenie Związkowi Muzyków w każdym mieście wojewódzkim jednej sali. Sale te przeznaczone wyłącznie na koncerty instrumentalne, wokalne, taneczne oraz wszelkie imprezy muzyczne, muszą posiadać wszelkie warunki odpowiadające swemu celowi. A więc: odpowiednią wielkość, pozwalającą na możliwie najniższą kalkulację cen biletów, dobrą akustykę, centralne położenie, wyposażoną scenę, aby poza koncertami czystej muzyki można było urządzać bardziej kasowe imprezy o charakterze popularnym, które jedynie zagwarantować mogą dochód dla Związku i C. B. K.;

2) należy znieść dla imprez koncertowych podatek miejski i dodać P. C. K. na terenie całej Polski;

3) we wszystkich miastach prowincjonalnych (nie wojewódzkich), w których C. B. K. będzie organizowało koncerty, należy ustanowić cenę za wynajem sali 10% od brutta;

4) przydzielić dla C. B. K. w każdym mieście wojewódzkim jedno auto dla koncertów objazdowych na terenie województwa. Jest to warunek sine qua non organizacji koncertów na prowincji. Kto nie urządził tournée koncertowego po Polsce, kto nie przesiadywał na walizce o godz. 2-giej lub 3-ciej w nocy na peronie, czekając na pociąg, i później nie zdobywał w nim miejsca, kto nie wrócił po objeździe lżejszy na wadze o 4 lub 5 kg, ten nie wie, czym jest auto przy organizowaniu koncertów na prowincji.

Dopiero wtedy, gdy spełnione zostaną wyżej wymienione warunki, będzie możliwa organizacja ruchu koncertowego na poziomie zachodnio- a właściwie wschodnio-europejskim.

Uwagi te nasunęły mi się, gdy zaproszony ostatnio przez dyrektora Krak. Zw. Muzyków na zebranie, którego celem było, po zaznajomieniu nas z katastrofalną sytuacją koncertową, powzięciu jakichś środków zaradczych, przysłuchiwałem się w milczeniu dyskusji i powoli ogarniała mnie głucha wściekłość, widząc jak ludzie ci, niektorzy już z słwym włosem, męczą się, szukając wyjścia z beznadziejnej sytuacji, której sami nie zmienią, bo zmienić nie mogą. I myślałem sobie, że już o 200 km od nas na wschód żaden artysta o podobnych problemach od dawna nie słyszał i na pewno nie zrozumiałby tego prostego faktu, że tych kilkudziesięciu poważnych, zasłużonych i utalentowanych ludzi siedzi i myśli szereg godzin bezskutecznie o tym, jakby można urządzić — koncert!

Piotr Kruszczyński

# DROGA PRZEZ ERWANIA

Biorąc do ręki „Utworki zebrane“ Lucjana Szenwalda trudno się uwolnić od bolesnej myśli o ich autorze. Pamięć o nim nadaje tym wierszom nowy, przez poetę niezamierzony wydźwięk:

Miła! Jeżeli fatum pozwoli  
Do nadwiślańskiej wrócić Itaki,  
W kraju wyrwany z grobu niewoli  
Pomnik postawię Tobie nie taki!

Myśla dogłębną, pracą cierpliwą  
Odtworzę Ciebie — taką jak byłeś —  
Pokazę Ciebie — mówiącą, żywą —  
Opowiem, jaką to była miłość.

Ten jeden z ostatnich i najbardziej chyba osobistych wierszy Szenwalda kojarzy się z myślą o niedorzecznym a zarazem tragicznym losie, który odyseję Szenwalda zakończył katastrofą.

Nie będzie zbyt zuchwałe twierdzenie, że jego twórczość, rozpoczęta tak wcześnie a przerwana tak nagle i to w momencie przyplitu sił twórczych, była właściwie tylko zapowiedzią. Była okresem szukania. Nawet więcej: była okresem błądzenia, długim szyfowym dopracowywaniem się własnego wyrazu — w cudzej formie.

I w tym tkwi właściwy tragizm — nie człowieka, lecz poety. Fanatyczny wielbiciel olbrzymów poezji nie mógł — według własnych słów — zgodzić się z myślą, że „twórczość nasza będzie o tyle — o całą poezję — niższa od tego, co zdziałały te wielkoludy“. Głosi więc i realizuje koncepcję „nalewania młodego wina w stare dzbanki“. Czyny to — trzeba przyznać — znakomicie. Otwórzmy na chybił trafił tom Szenwalda i posłuchajmy:

... kilka liter powiadam, nad stronicą  
złotą  
zblekitnionych, nim w słowo spłyną  
jednolite  
i brzmień architektura skute doskonała,  
odkryją dziwne dale w greckim słowie  
„n a s“  
(„Ku czci filologa“).

Czyż wiersze te nie brzmią, jak któryś z nieopublikowanych dotąd fragmentów Norwida? Norwid nie był zresztą pisarzem, który silnie zaważył na poezji Szenwalda. On sam w liczbie swych mistrzów wymienia: Eschylosa, Wergiliusza, Szekspira, Shelleya, Mickiewicza, Słowackiego.

Szenwald był wirtuozem tradycyjnego wiersza polskiego. Tylko on ze swego pokolenia mógł napisać wiersz „Do uświadomionej robotnicy“ w formie canzonu. Twórczość Szenwalda była długo tragiczną pomyłką, cyklem błyskotliwych tryumfów poetyckiego oręża, które w wyniku ostatecznym — przynosiły klęskę.

Jego bowiem zwycięstwa nad trudnościami, nad pokonaniem i opanowaniem skomplikowanej formy były tylko pozorne. Rozwiązanie układu równań było błędne, odnalezione niewiadome nie sprawdzały się z rzeczywistością. Tego nie dostrzegaliśmy — czy nie chciał dostrzec? — Szenwald. Weźmy jako przykład — najbardziej typowy, największy rozmiarami i włożonym w ten trudem pisarskim — poemat „Scena przy strumieniu“. Czytając jego fragmenty, rozkoszujemy się bujnością i poletem języka, różnorodnością i wdziękiem wszystkich chyba znanych poezji polskiej rytmów. Ale ogarniając całość trudno nie wyczuć kilka głębokich rys, pęknięć naruszających strukturę poematu. Mniejsza o to, że wątek „sielankowy“ (z dramatycznym rozwiązaniem) z trudnością kieruje autor ku jednorozowemu przecięciu się z wątkiem społecznym. Gorzej, że wprowadzone na tę „scenę przy strumieniu“ postacie są sztuczne, obce rzeczywistości społecznej. Prawo do egzystencji w świadomości czytelnika zyskują one nie na podstawie jego doświadczenia społecznego, lecz tylko — umowy zawartej z autorem. Cóż, kiedy w czasie lektury wciąż musimy mnożyć koncesje na rzecz autora i coraz trudniej przychodzi nam znaleźć wspólny z nim język... Najpiękniejsze jednak uczucie niedosytu, z jakim zamykamy „Scenę przy strumieniu“ — płynie z rażącego niedopasowania formy do treści — i zawar-

tości poematu. Zarówno tam, gdzie mówi autor, jak i w tych miejscach, gdzie wypowiadają się (a mówią dużo) jego bohaterzy, wyczuwamy sztuczny, wbrew intencjom autora, fałszywy wydźwięk.

Oto jeden z bohaterów, proletariackie dziecko, Bogdan Grzych, przemawia do swych kolegów — czterestolatków:

Nie zagłuszy ryk mocarstwowych trąb  
tego świata liter, co sięga w głąb!  
Mgły sprzed powiek, jak pianka,  
bryzną  
Chłopcy! dajcie mi ręce. Gromada stał!  
I niech hasło nabrzmiałą rozszerzy krtani.  
Nie chcemy — analfabetyzmu!

„Scena przy strumieniu“, jak i cała przedwojenna twórczość Szenwalda, jest artystyczną pomyłką; mimo dysonansów i fałszów, jest jednak znamienym zjawiskiem w rozwoju poezji polskiej lat międzywojennych.

## WIERŠE WOJCIECHA BĄKA

Wojciech Bąk. Syn ziemi. Łódź, Wydawnictwo Władysława Bąka, (1946); str. 136.

Charakterystycznym objawem dla najnowszej twórczości naszych przedwojennych poetów, mniej lub więcej zbliżonych do grupy Skamandra, jest zmęczenie psychiczne i wyczerpanie twórcze. Nie umilkli oni — lecz słowa ich nie mówią wiele ani czytelnikowi, ani badającemu samym twórcą. I nie zawsze jest to objaw przeżytej zewnętrznej czy wewnętrznej emigracji. Nie zawsze przyczyną jest niemożność zajęcia określonego stanowiska wobec historii wczorajszej — i dzisiejszej.

Poezje Wojciecha Bąka, na przykład, reprezentują zdecydowaną postawę ideologiczną. Mimo to nie posiadają siły, która świadczyłaby o walce, o jakiej marzy autor. Bąk pragnie odzyskać dla poety, i nie tylko dla poety, ale w ogóle dla człowieka, zmaltretowanego przez przejścia wojenne — prawo do bezinteresownego, estetycznego stosunku do świata. Wielu słowami bardzo licznych wierszy wypowiada następujący program poetycki: Przez lata obózów odmawiano człowiekowi prawa do świata, tj. do treści sensualistycznej, religijnej, jaką poeta w nim znajdował; zamiast bogactwa mistycyzmologicznego (tak w skrócie można by określić jego pojmowanie świata) — narzucano mu schemat śmierci. Teraz pragnie otrzymać to, czego mu wbrew naturze wzbieraniano. Dostarczyć tych treści ma poeta.

## SATYRY HUSZCZY

Jan Huszcza. Ehem o ściane. (Łódź, „Książka“, 1946; str. 130.

Jeśliśmy chcieli odbudować historię dwu pierwszych lat niepodległości — i nie te monumentalne, złożone z zakończonych wojny, odzyskanych terenów, wydanych dekretów — lecz te, bardziej poufne, utkana z codziennej materii naszego życia, to wątpliwe, czy znajdziemy lepiej zredagowany jej podręcznik niż zbiór satyr Huszczy.

Ci z nas, którzy nigdy nie brali udziału w okolicznościowych akademiach, nie wystawiali w burach, nie byli członkami komitetów nie tytułowali, nie szabrowali, nie pili wódki — mogą jej nie czytać. Reszta — powinna. Huszcza nosi w sobie żywą statystykę wad narodowości: mało kto równie zna nasze społeczeństwo, równie zawzięcie je kocha, równie czule go nienawidzi — jak ten pomur i nieufny wlinianin.

Powiem szczerze: dla mnie utwory te zawierają więcej poezji niż wiersze tegoż autora. Błotniste, pograżone w ciemności i w ciemności miasteczka, uroczym domki, otoczone warzywnymi ogrodami,

Wnosi ona ambitny wkład w rozbudowę „tego ideologicznego odłamu poezji, który pragnął wyrazić tęsknoty walczącego ludu“ (z komentarza autorskiego „Sceny przy strumieniu“).

I trzeba o tym dziś pamiętać. Ale na pamięć zasługuje przede wszystkim inny okres twórczości Szenwalda: jego wiersze wojenne. Czytając je, musimy pamiętać o warunkach, w jakich powstawały; słowo „front“, widniejące obok daty ich napisania nie było efektywną dekoracją, lecz — groźną rzeczywistością. W obliczu takiej rzeczywistości trudno było czytelować i wygładzać szczegóły. Stąd zbiorek „Z ziemi gościnnej do Polski“ czyni często wrażenie notatnika poety, w którym pełno jeszcze niedociągnięć, potknięć i łatwizn:

Jest w tym programie poetyckim świadomość osamotnienia i pewnego przeciwstawienia się aktualnej praktyce i teorii literackiej — nie ma natomiast siły bojowej. Przedwojenną formę poezji Bąka, nieraz przedzielną ornamentyką barokowo spiętrzoną, zastąpił błąd werbalizm. Ani świat rzeczy, ani świat uczuć nie został w niej śladu — wiersze są niestety próżnym wzywaniem poezji i częstym wymawianiem imienia jej nadaremno.

Poprzednio żywą dziedziną zainteresowań Bąka, uprawianą z dodatnim efektem poetyckim, była przyroda. Bąk wnosił w ten odwieczny temat liryczny pewną poetycką świeżość. Nie ujmował przyrody w sposób szablonowy, lecz poprzez właściwą mu uczuciowość moralistyczno-religijną. Czy walczył ze swym „pogaństwem“, czy zbliżał się do franciszkanizmu — było zawsze w tych znanych postawach coś własnego, co zjednywało mu czytelnika. Tomik obecny, zatytułowany „Syn ziemi“ — nie ma, niestety, ani grudki tej konkretnej ziemi, nie ma tej miłości, która umie materializować zjawiska w poezji. Są natomiast słowa — które poetę uwodzą i zwodzą na manowce. Gdyby przypisać im znaczenie (nie posiadają żadnego prócz swojej funkcji akcentacyjnej w wierszu o określonej ilości zgłosek, co wystarcza do pewnego poetyckiego „samoozołomienia“) — słowa tego humanisty znalazłyby się w parado-

Tego, co ogrzał ich i wskrzesił  
Ugrzył w rękę — marne kundlie!  
My chcemy bić się tak jak Czesi,  
My chcemy móc powtórzyć Grunwald.  
(„Józef Nadzieja“).

Sytuację poety komplikował jeszcze fakt, że duża część jego wierszy pisana była wprost czy pośrednio — „na zamówienie“, z myślą o szarym słuchaczynie czy czytelniku z żołnierskich szeregów Pierwszej Armii. Stąd ścisły rygor ideologiczny, daleko idąca programowość wielu wierszy. Poetycki obraz staje się niekiedy seryjnym plakatem wiary — łańcuchem politycznych hasel. Mimo to wiersze z cyklu „Z ziemi gościnnej do Polski“ są dużym osiągnięciem Szenwalda, który był predystynowany do tego, by stać się bardem Pierwszej Armii. Materia poetycka łatwo przystosowała się do wzorów, obranych przez Szenwalda.

ksalnym sąsiedztwie ideologii przeciw ludzkiej:

A ja wielbię z zachwytem  
Krwil mej doskonałość.

Spływa z ranionej skroni,  
Cała twarz zbroczona —  
A ja szepczę: krew piękna  
I jaka czerwona!...

W innym miejscu:

Kto piomleń chwala — ten pochwała  
śmierć —  
Ja śmierć pochwalam — wielbiel  
piomieni,  
Dajcie mi tysiąc dusz i tysiąc serc,  
Ja je z radością oddam na spalenie.

Wprawdzie dalej „wyjaśnia“ autor, że ta metafora ma wyrażać intensywność życia i ofiary (przy pomocy piomieni, śmierci, tysiąca serc i tym podobnych lieux communs):

Bo głębiej żyć — to głębiej jest umierać  
I więcej siebie oddawać na zgłiszce...

Mój płacz jak śmiech zachwyty się  
weseli  
I groza moja — jak wiara radosna.

I tak dalej, dowolnie długo w panna Morsztynowym stylu...

Kiedy indziej niezliczone powtórzenia motywów śpiewu i lotu dziwią czytelnika przebrzmiałą symboliką bez pokrycia.

U pisarza, który pragnie zwalczać programowość w sztuce — trudno doszukać się czegoś prócz jedynie programowych słów, „rozwijania tematów“, które go bez wątpienia bardzo bolały, wszystkich bolały, ale nie dały mu ani jednej lzy poetyckiej.

Janina Pregerówna

## BIBLIOGRAFIA, KRYTYKA, USTAWY

Technika traci tu i ówdzie myską; charakterystyka przy pomocy imion wydają się nam chwytem mocno przestarzałym. Wybór tematów nieco jednostajny: na 35 zamieszczonych utworów — biurokracja i zjawiska jej towarzyszące stanowią temat osiemnastu — a więc połowy.

Bez wątpienia, biurokracja jest przeciwną wielu naszym nieszczęściom, ale czyżby zajmowała ona aż tak kolosalne w naszym życiu miejsce? Brak — jeśli można humorystycznie podsumować — satyr na lekkość i niecierpliwość narodową, na kółnictwo, na skłonność do pośpiesznych uogólnień, na zacofanie itd. To ograniczenie treściowe sprawia, iż tomik — mimo doskonałego i zawsze trafnego doboru — jest nieco monotony. Autor, najzdolniejszy niewątpiwe satyryk prozaiczny, jakiego posiadamy, powinien wyjść poza tematykę młodzieńczą, która działa nań już w tej chwili hamująco: świat nie kończy się na Skromnej Miłosnej, załudnionej przez dwie pasące się na rynku kozy i 500 urzędników.

Artur Sandauer

## TYDZIEŃ BIBLIOGRAFICZNY

PUBLICYSTYKA, PROZA DOKUMENTARNA

Główna Komisja Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce. Zdzisław Łukaszkiewicz. Obóz straceń w Treblince. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1946; str. 52 i 4 nl i 4 ilustracje.  
Boje w Hiszpanii 1936—1939. Zjazd Dąbrowszczaków w Warszawie, listopad 1945. Warszawa, 1946; str. 76 i 2 nl i 12 tabl.  
K. Ziliacus. Między dwiema wojnami. Warszawa, „Czytelnik“, 1946; str. 142 i 2 nl.  
Ludwik Rajewski. Oświećmy w systemie RSHA. Warszawa, E. Kuthan, 1946; str. 199 i 3 nl.  
Kazimierz Paszkowski. RAF contra Luftwaffe. Bitwa o Anglię. Łódź, „Księgarnia Polska“, 1946; str. 191 i 5 nl.  
(Jerzy Andrzejewski). Apel z przedmową Andrzeja Pomiana. Londyn, 1945; str. 39 i 1 nl.

LITERATURA DZIECIĘCA

Czytając Nr. 1. Powłastka o panu Twardowskim. Opracowała M. Samozwaniec. Warszawa, „Interprint“, 1946; str. 22 i 2 nl. — 15 zł. — Nr. 2. O dziewczynce zakłanej w kotkę. Opracowała M. Samozwaniec, tamże, str. 22 i 2 nl. — 15 zł. — Nr. 3. Królowa śniegu. Opracowała M. Samozwaniec, tamże, str. 23 i 1 nl. — 15 zł. — Nr. 4. Biały Kapturek. Opracowała M. Samozwaniec, tamże, str. 23 i 1 nl. — 15 zł. — Nr. 5. Okruszynka według Andersena, tamże, str. 22 i 2 nl. — 15 zł. — Nr. 6. Śpiąca królewna. Opracowała M. Samozwaniec, tamże, str. 23 i 1 nl. — 15 zł. — Nr. 7 i 8. Mały Tadeusz. Opracowała J. Hojsick-Hendrichowa, tamże, cz. I, str. 23 i 1 nl, cz. II, str. 23 i 1 nl. — 30 zł.

H. C. Andersen. Bajki. Opracował na nowo Witold Zechenter. Ilustrował Jerzy Karol Kraków, M. Kot, 1946; str. 255 i 7 nl i 1 nl, ilustracja barwna.

BIBLIOGRAFIA, KRYTYKA, USTAWY

Piotr Grzegorzczak. Diariusz kultury polskiej 1945. Odbitka z „Twórczości“. Kraków 1946; str. 161—205 i 2 nl.  
Władysław Gomułka-Wiesław. Ziemia odzyskana — integralna część Polski. Przemówienie wygłoszone na wiece w Warszawie w dniu 8 września 1946. Łódź, „Książka“, 1946; str. 16. — 10 zł.  
Głosowanie ludowe. Teksty ustaw i komentarz. Warszawa, „Książka“, 1946; str. 38 i 4 nl.  
St. Strzebiński. Urlojy pracowników. Łódź, „Książka“, 1946; str. 61 i 5 nl.  
Projekt budżetu stoł. Pról. m. Krakowa na rok 1946. Wydanie II. Kraków, 1946; str. 193 i 1 nl i XIII i 1 nl.  
Informacja o urzędach, instytucjach publicznych, środkach komunikacji, uzdrowiskach i hotelach w Polsce. Warszawa, Wydział Turystyki Ministerstwa Komunikacji, 1946; str. 212 i 4 nl i 1 mapa i 1 załącznik i 1 dodatek.

Dysonans między treścią społeczną a formą metryczną i językiem, który tak raził w „Scenie przy strumieniu“, w wierszach pisanych na emigracji nie psuł zamierzonego efektu. Tęsknota za krajem układała się w rytmu Norwidowe:

Do kraju, gdzie lubin na smugach plonie,  
Gdzie jaskówek pełne kalenice,  
Do kraju, gdzie kwitną kwiatami jablonie,  
Z patriotami szublenice —  
(„Józef Nadzieja“)

Ta świadoma stylizacja była, zważywszy cele praktyczne, jakie stawiał sobie Szenwald — krokiem poetycko trafny. Czytelnik czy słuchacz, który w jego wierszach odnajdował z łatwością pokrewieństwo z innymi, dobrze zapamiętanymi i drogimi utworami: z wielką poezją romantyczną, od razu nastawiał się na jej ton. Nie jest to przypadek, że w ostatnich utworach Szenwalda dominuje wpływ Mickiewicza. Wpływów mickiewiczowskich można się było doszukać już dawno — w epickim nurcie „Kuchni mojej matki“, ale autor „Pana Tadeusza“ dopiero teraz stał się bliski Szenwaldowi — jako wielki realista.

Szenwald przechodzi na pozycję realizmu. Realistyczne widzenie świata narzuca stylowi poetyckiemu rygory precyzji.

Zawłane wiatrem ślady płóz,  
W śniegu zmarznięty gnój kobyli.  
Szeleszcząc, oblamuje mróz  
Oszkione lodem kępki bylin,  
I staw okryty białą krwzą,  
I gdzieś na ślimy końcu świata  
Przesuwający się horyzont,  
Granica stepu lodowata  
Iglami Iskier kłuje szron  
Osrebra twarz i bę kryształ.  
(„W stepie“).

Opis nie jest jednak dla Szenwalda celem, który chce przede wszystkim wprowadzić w atmosferę heroicznego wysiłku Armii Czerwonej, budującej w stepach umocnienia. Ale ideowym rozwiązaniem utworu nie jest synteza tego bohaterstwa, wlotczona w dwie (ciągle jeszcze), barokowe metafory:

Tu Indzi ssa mleko wielkości  
Z nabrzmiewającej piersi przemian.

Szenwald patrzy na otaczające go sprawy ze stanowiska żołnierza walczącego o Polskę. I to stanowisko dyktuje mu wiersze, które nadają widzianej rzeczywistości inny, głębszy sens: „Polskę — swobodną, silną, piękną — tak nam dopomóż!... odbuduję“. Najbardziej charakterystyczna cecha poezji Szenwalda, która sprawia, że ma ona jeszcze dziś wydźwięk aktualności — to zawarty w niej patos odbudowy. Oczywiście, jest to przede wszystkim poezja walki z Niemcami. W 1943 r. inaczej być nie mogło. Ale tym silnie trzeba uwidatnić postawę poety, który w „Widniu do Juliana Tuwima“ sławi „ten, który przyjdzie, pracowity tydzień“, a w „Elegii na śmierć Kalinowskiego“ radośny „jaki ogarnie ludzi rozmach światłowitwórczy“. Jego „Józef Nadzieja“ wraca do Ojczyzny nie tylko po to, „by wieńce kłaść na rodzinne kopce“. Ale także, by „budować, budować, budować“. Budować oczywiście nie wyłącznie w sensie odbudowy „nagiego stepu“, jaki pozostawił niemiecki barbarzyńca. Przez odbudowę Polski rozumie Szenwald przede wszystkim odbudowę człowieka. Warto przypomnieć jego mądre, pełne optymizmu słowa:

W ogniu walki, w nagłym rozprężeniu.  
W rozmachu i w rozblysku, w gwałtownym tętnieniu  
Przebudowy, w oddechu płomiennym  
działania  
Przepali się ohydna śnieg, ogień oczyści  
Rozmiekle skrzyły duszy, przeświecił  
żrenicę,  
Nada linom nabrzmiałych ust szlachetną  
twardość,  
I w charakterach, od rdzy zmętniałych,  
rozjarzy  
Blask niewidzialnych mocy, że odtań  
podźwigną  
Nie takie prace i nie takim podolają  
Zadaniom.  
(„Do Juliana Tuwima“).

W surowej prostocie i intelektualnej szlachetności tych słów płynie nurt poezji, poezji, która wróciła do człowieka, w służbę jego spraw, aby walkę o jego godność.

Realizm humanistyczny — oto droga, na którą po latach poszukiwań wstąpił Szenwald. Prawie u początku przerwała ją śmierć.

Henryk Markiewicz

\*) Lucjan Szenwald. Utworki poetyckie. Słowo wstępne: St. R. Dobrowolski, S. Poliak. W. Bieńkowski. Łódź, „Książka“, 1946; str. 247 i 3 nl.

# SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA • CZYTELNIK •

JUŻ NA PÓLKACH KSIĘGARSKICH

TOM PIERWSZY SERII  
„ŻYWOTY NIEUROJONE”

LUDWIK HIRSZFELD

## HISTORIA JEDNEGO ŻYCIA

STRON 372

700.— Zł.

PAWEŁ HERTZ

## DWIE PODRÓŻE

STRON 75

150.— Zł.

ZOFIA NAŁKOWSKA

## MEDALIONY

STRON 90

160.— Zł.

BIBLIOTECKA MŁODEGO CZYTELNIKA  
„PRZEKŁADY Z LITERATUR OBCYCH”

LEW TOŁSTOJ

## DZIECIŃSTWO

STRON 160

150.— Zł.

W TYCH DNIACH UKAZĄ SIĘ

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

## WIERSZE WYBRANE

Z PORTRTEM POETY

STRON 240

STEFAN TWORKOWSKI

## ARCHITEKTURA WSI

MATERIAŁY DO DYSKUSJI

STRON 160 + 2 MAPY

BIBLIOTEKA „CZYTELNIKA”  
TOM PIERWSZY

STEFAN ZEROMSKI

## NOWELE OPOWIADANIA I FRAGMENTY

Z WSTĘPEM I OBJAŚNIENIAMI  
KAZIMIERZA WYKI

TEKST PRZYGOTOWALI DO DRUKU  
WIKTOR DODA I KAZIMIERZ WYKA

STRON XXXIV + 326

### Szkoła krytyków

#### WIECZYSTE PODZIEMIE, ARLEKIŃSTWO I MISTERNOŚĆ

Ukazał się niedawno pierwszy numer dwutygodnika „Wieś Tworząca”. Dobry papier, zielona okładka, a na niej fotografia wdzięcznej i prymitywnej kapliczki przydrożnej. W środku różności. Wiersze, fragmenty prozy, artykuły. Najbardziej spośród nich zjednują karty zgłoszenia do grupy ideowej „Wieś Tworząca” oraz załączone do nich wyjaśnienia. Okazuje się bowiem, że nie nasz dwutygodnik będzie płacił współpracownikom za ich utwory, ale oni sami będą je opłacali: „Członkowi rzeczywiści twórczy składają jednorazowy roczny wkład w postaci honorarium za pierwszą pracę produkowaną we „Wsi Tworzącej” i to nie dłużej, jak w jednym numerze czasopisma.”

Przypomina to wprawdzie pewne „czasopismo” poetyckie ukazujące się przed wojną w Trembowli, gdzie też każdy mógł drukować, o ile za druk zapłacił, ale ostatecznie czemuż części wydatków Ludowego Instytutu Kultury nie przerzucić na kieszenie jego, że tak powiem, podopiecznych? Raczej należy zazdrościć. Gdyby bowiem każde pismo literackie mogło podobnie postąpić, rękopisy pchałyby się drzwiami i oknami. Szczególnie słuszne jest zastrzeżenie, że nie dłużej, jak w jednym numerze. Znam bowiem gości, którzy na pewno wykupiłyby cały rocznik dla siebie. I zapelnili.

### PRZEGLĄD PRASY

Artykuł Ryszarda Matuszewskiego w 47 numerze „Odrodzenia” zwalnia sprawodawcę od szerszego omówienia doskonałego numeru „Kuźnicy”, poświęconego II Walnemu Zjazdowi ZZLP i podającego m. i. w całości najważniejsze przemówienia, wygłoszone na zjeździe. Nie mogę jednak odmówić sobie satysfakcji, i nie wspomnieć o wybornym, satyrycznym felietonie Jana Rojewskiego na marginesie zjazdu, i nie mogę nie zwrócić szczególnej uwagi na przekonujące wywody Pawła Hertza o „politycznym wyrażeniu zjazdu”, o „Dwóch sojuszach”, które miała do wyboru grupa radykalnych katolików, obecnych na zjeździe.

Pomiędzy „fałszywymi liberałami bez żadnego programu” a lewicą — powiada Hertz — radykalni katolicy wybrali lewicę: „zasługą zjazdu jest przede wszystkim niewątpliwe zbliżenie między intelektualistami radykalno-katolickimi i ośrodkiem intelektualnej lewicy”. Mówili mi niektórzy krakowscy uczestnicy zjazdu, właśnie z „obozu radykalno-katolickiego”, że Hertz „upraszcza”, że „nie zupełnie tak było, jak on pisze”, że dla delegatów krakowskich decydujące były momenty natury zawodowej. Obiektywna analiza sytuacji z szerszego stanowiska każe jednak przyznać rację Hertzowi. Oczywiście, można być różnego zdania co do trwałości nawiązywanego de facto choć nie de jure „sojuszu”; ale Łódź była jakby kontynuacją dyskusyj krakowskich i dalszym dowodem, że żarliwy pisarz katolicki bodaj łatwiej porozumie się z pisarzem marksistą niż z apolitycznym (tzw. opozycyjnym) „liberałem” (nie zapominajmy o cudzoziemcu!).

Niedawno obchodziła domowy jubileusz wydania 50 numeru katowicka „Odra”. Należy stwierdzić, że pismo w ostatnich miesiącach się poprawiło, jego katolicyzm przestał być klerykalizmem (oby nie była to tylko chwilowa poprawa!), jego zainteresowania skupiły się koło spraw Ziemi Odzyskanych, o których „Odra” informuje obecnie obszernie i rzeczowo (ostatnio w wartościowych reportażach E. Paukszy i S. Sulimy). Rubryka „Co robią Niemcy” — prowadzona przez wisza — powinna być częściej, niż to się dzieje dotychczas, wyszukiwana przez prasę codzienną, jest bowiem prawdziwą kopalnią interesujących a obiektywnie podanych materiałów. Nawet „Przegląd prasy”, do niedawna teren mętnych popisów (zby), stara się jego następcę (ki) prowadzić rzeczowo i spokojnie.

W związku z czterdzięcym Polskiego Związku Zachodniego pokazuje 40-stronicowy numer wydała

Są również w tym piśmie inne strony godne uwagi. Jego program („Od redakcji”) oraz zasadniczy artykuł redaktora naczelnego Leona Pokory pt. „Próba syntezy”. Redakcja zapowiada, że „nieudolność i nieumiejętność wyrazu artystycznego nie będzie wadą tego pisma. Wylawiać będziemy w nim kruszce surowe, które nie uległy jeszcze obróbce cywilizacji, lecz są prostym i bezpośrednim wyrazem treści życia ludu”. Przynajmniej sprawa postawiona jasno i wiadomo czego się spodziewać, a raczej nawet zazdrościć. Gdybyż to w każdym piśmie nieudolność przestała być wadą!

Ale w takim razie, jeśli chodzi właśnie o nieudolność i nieumiejętność, skąd równocześnie nadzieje, że „tylko na skutek przenikania samorodności w wiedzę naukową da się wysublimować wartości nowe i powszechne”. Albo, albo — szanowna redakcjo. Jakim bowiem sposobem tajemniczym przechodzą w siebie te właściwości, nie jestem w stanie pojąć. Zapewne na skutek swojej przynależności umysłowej.

Czytamy bowiem dalej: „Pismo nasze będzie wyrazem własnego, chłopskiego kierunku kulturalnego, wymodelowanego poza wszelkim patronactwem ideowym elitarnych grup intelektualistów”. Kozumiemy doskonale te niechęci. Pod patronatem najbardziej przystrojonej w „arlekiństwo i misterność” literackiej grupki nie wytrsnęłyby bowiem nigdy z „wieczystego podziemia kulturalnego” takie zdania, jakie co chwila tryskają w „Próbie syntezy” L. Pokory: „Historia, obserwując wojny, dyplomacie i szowi-

nizmy narodowe, zdaje się już nie zaprzeczać, że ten rodzaj ruchu historycznego jest ślepy i rączej tamującej rozwój ludzkości”. Nareszcie dowiedzieliśmy się, co za pomyłką uprawia ludzkość od początku swojego istnienia.

Nie mniej interesujących rzeczy dowiadujemy się o poszczególnych etapach historii. „W laboratoriach cywilizacyjnych Wschodu i Rzymu wyrastał typ kultury spekulatywnej, irracjonalnej w swoim podłożu społecznym, typ kultury bliższej, obliczonej na pozę, którą nazwano pięknem i kształtem”. Na szczęście cały błąd dziejów daje się w prosty sposób usunąć i rozwiązać. W ten mianowicie: „Jeżeli w twórczości ludu budzi zachwyt naturalizm i swoboda, odczucie ziemi — to w zasadzie podoba nam się świadomość twórcy, kryjąca w sobie mechanizm ewolucyjnej woli przyrody. Człowiek, który poddał się jej, ale wyzwoił się w sobie jako „rzecz natury” a jednocześnie świadomy siebie subiekt pasją twórczą zjednoczył się i znalazł w powszechnej sile ewolucji w naturze: w ogólnej jej masie ta postawa daje szczęście i lekkość i tak trzeba rozumieć „człowieka i kulturę ziemi”.

Ponieważ do grupy „Wsi Tworzącej” trudno mi wstąpić, składkę członka rzeczywistego — twórczego, 500 złotych w jednym banknocie, przeznaczam dla czytelnika, który mnie swoimi słowami objaśni, o co tutaj chodzi. Jeżeli dziennikarze będą mieć kiedyś swego męczennika, przypuszczam, że zostanie nim stojak wiklinowy dźwigający współczesną prasę polską.

kjw

my jednak nie przyznać, że tam gdzie przyjęła od nas zasady etyki autentycznej, obierając za warunek tworzenia treść wartościowych przeżyć, zdobywa się czasem na jakie takie wyniki, nawet ona”. Tako rzecze — niezbyt zawile — J. B. Ożóg. Nie dziw, że „podchwycąc te słowa młodzi i pójdą za nami”. Jesteś tego pewien autentysto?

Nie wspominałem również dotychczas o „Zryw” — dwutygodniku wychodzącym od sierpnia br. w Poznaniu. Czasopismo przypomina nieco „Pokolenie”, ale z przewagą artykułów o treści politycznej. Dobrej woli do zrozumienia współczesnej rzeczywistości — dużo; uwagi T. Jędrzejewskiego o „Problemie współpracy polsko-radzieckiej” (nr 1) wyważają wprawdzie otwarte drzwi, ale — o paradoksie polski! — czynność ta w stosunku do zagadnień polsko-rosyjskich długo jeszcze będzie potrzebna i pożyteczna. F. Widz-Wirski dopominając się „O własną syntezę nowych czasów” (nr 8) ma podobne cele na oku; a pragnąc „przeszłością przyszością pogodzić w twórczej syntezie”, dopatruje się najlepszych po temu warunków w środowisku krakowskim, skąd „weszło do Polski Odrodzenie”, gdzie „wykwitł rewizjonizm historyczny” i skąd także „wszedł na arenę polityczną proletariatu polski”. Tę wiarę w awangardową rolę Krakowa miało wielu; ma ją coraz mniej; o ciężkość kulturalna i polityczna przeważnej części czynników krakowskich zdaje się przyznawać raczej przeciwnikom Krakowa.

M. Adamek-Mieczkowski „Zagadkę rozszczępienia kulturowego rozwoju Polski” („Zryw”, nr 25) widzi w „indywidualizmie wegetacyjnym”, który jest negatywnym określeniem „światopoglądu rozpadowego”. „Na tablicy rozdzielczej narodu ukazuje się niepokojąca słabizna przepływu energii — uzala się autor. — Typ przeżyć emocjonalnych świadczy o chorobliwym osłabieniu. Takie muszą być wyniki. Droga od mocarstwa Jagiellonów do Generalnej Gubernii jest całkiem prawidłową ewolucją”. Czyż można wyraźniej ulegać osłabieniu „Dziejom bez dziejów” Włodzimierza Stachniuka? Ale Stachniuk winą za „wegetację” i „niże cywilizacyjne” obciąża katolicyzm polski (pisze np.: „Naród polski, opanowany przez katolicki typ kultury, nie ma żadnych wewnętrznych spontanicznych impulsów do wyteżonej twórczości i wielkiego rozwoju cywilizacyjnego”), a tego głównego akcentu brak w „Zryw”. Tym samym jednak nawet nawiązywanie do Stachniuka zawisa w próżni, bo kontynuacja linii „Zadruż” bez zwalczania „polakokatolicyzmu” jest jeszcze większym dziwactwem niż „Zadruż”.

jaszcz

# NA PERYFERIACH TEATRU



„Nasza szkoła“ — z cyklu „Nauka“

## „KOLOROWE PIOSENKI“ W „GROTESCE“

Inscenizacja i scenariusz: H. Ryl. Opracowanie muzyczne: S. Kislewski. Oprawa plastyczna: A. Bunsch i A. Cybulski. Lalki wykonał: zespół „Groteski“ pod kier. M. Sasykina. Orkiestrą kieruje: S. Domosławski. Udział biorą: M. Hubicka, J. Marzec, A. Mazurkiewicz, J. Woźniak, W. Zahorowska, K. Zylńska, W. Młczek, T. Mroczek, F. Puget, W. Rajewski, A. Ryl, A. Skubisz. Maszynaria: K. Skoś. Światło: J. Jezierski.

Po wielu nieudanych próbach, tym razem, zdaje się, trafiono w sedno rzeczy. Wreszcie mamy teatr, w którym dzieci się bawią — w przeciwieństwie do „Gro-

teski“ zeszłego sezonu, gdzie bawili się dorośli, a dzieci postękiwały z nudów. Eksperyment Henryka Ryla udał się dla tego przede wszystkim, że dzieci spotkały się w „Grotesce“ ze starymi znajomymi: usłyszały znajome piosenki i ujrzały lalki-zabawki.

„Teatr lalek — pisze Stefan Szuman w programie — jest teatrem marzeń dziecka, bo grają w nim lalki, które się stają jak gdyby żywymi ludźmi, nie przestając być „zabawkami“, a nie żywi ludzie, tj. aktorzy — którzy są istotami zbyt rzeczywistymi, aby mogli się stać na scenie tym swoistym tworem z pogranicza rzeczywistości i fantazji, jakim jest żywa lalka — czyli kukiełka“.

Takich lalek jest aż sto. W kształcie

uproszczone, czasem, szczególnie zwie rzęta, wprost syntetyczne, w barwie na ogół odbiegają od realizmu daleko. ale dzieci to nie razi.

— Dlaczego ta lalka ma różowe włosy? — zapytał siedzący obok mnie Dudaś.

— Za to tamta druga ma zieloną twarz — odpowiedziałem, jak mogłem.

— W porządku! — oświadczył Dudaś i bawił się dalej.

Kukiełki są małymi arcydziełami, ale operowanie nimi nie zawsze zadowala. Podczas samej piosenki wszystko idzie składnie, natomiast wprowadzanie lalek na scenę i wyprowadzanie ich szwankuje stale; powinno się to, moim zdaniem, odbywać bardziej rytmicznie, w takt muzyki łączącej jedną piosenkę z drugą.

Piosenki podzielono na trzy cykle: „Zabawa“, „Nauka“, „Praca“. Cykle, drugi i trzeci, przedstawione są równie zachęcająco jak pierwszy; obywa się prawie zupełnie bez moralizowania, — jedna jedyna zwrotka finału zawiera morał.

Dzieci i dorośli najchętniej oklaskiwali „Karuzelę“, „W poniedziałek rano...“, „Flisaków“ (arcypięknych) i obraz ostatni.

Drobne usterki, o których mówiliśmy, dadzą się łatwo usunąć. Ale nie wiem, czy uda mi się wyperswadować inscenizatorom, że należało by usunąć przede wszystkim to, co uważają za swój rewelacyjny pomysł, za wynalazek, a co w gruncie rzeczy jest mistyfikacją bez wdzięku. Mam na myśli ową tajemniczą maszynę, która to niby chwytła piosenkę z eteru i inkarnuje ją. Maszyna spełnia ostatecznie funkcję dekoracyjnej ramy, ale nie jest ani pouczająca, ani zabawna. I nie budzi na widowni rezonansu. Czujemy, że inscenizator trafił tutaj obok; właściwy punkt jest może niedaleko.

Artur M. Swinarski

## DYWANI TAPETA T. DOBROWOLSKIEGO

Chciałbym odpowiedzieć poważnie. Spór z T. Dobrowolskim zaczął się od jego artykułu, w którym wypowiedział na temat dzisiejszego malarstwa wiele niedorzeczności. Spośród tych niedorzeczności wybrałem dla przykładu dwie jaskrawe: sąd o rysunku Bonnard'a i twierdzenie, że malarstwo Bonnard'a jest nieprzestrzenne. Wybrałem je dlatego, że np. sprawę, czy obraz daje iluzję przestrzeni czy nie, stwierdzić może własnym okiem każdy, kto uważliwy, że więc są mylny w tej sprawie świadczą o szczególnej niewiarzyliwości plastycznej.

Dyskusja ograniczyła się w końcu do sprawy przestrzenności obrazów Bonnard'a. T. Dobrowolski po moim artykule — przejrzał, pisze już, że rozumie przestrzeń Bonnard'a. Wydawałoby się więc, że sprostuje swoje pierwotne twierdzenie. Każdemu zdarza się popełnić omyłkę, czy nawet, jak Dobrowolskiemu, pałać kapitalne głupstwo. Lecz nikt nigdy nie tłumaczył się, że pałał głupstwem, uczynił to... dla skrótu naukowego.

Obrazy Bonnard'a określił T. Dobrowolski jako powierzczenie nieprzestrzenne, „dywanowe“. Określenia „dywanowe“ użył — zaznacza — w znaczeniu metaforycznym. Na podstawie tej „metafory“ wygłasza teraz sąd (por. nr 47 „Odrodzenia“), że twierdząc, iż malarstwo Bonnard'a jest nieprzestrzenne, twierdzi jednak, że jest przestrzenne, bo „dywan posiada gruzłowatą fakturę, tapeta zaś gładką“. Matisse — oto sens twierdzenia Dobrowolskiego — jest płaski, „tapetowy“, a Bonnard płaski, „dywanowy“, a więc nie płaski, bo dywan to nie tapeta, dywan ma gruzelkowatą fakturę.

Wynikałoby więc z rozumowania Dobrowolskiego, że obraz malowany płaskimi pociągnięciami pędzla, tym samym musi być bardziej „płaski“, „nieprzestrzenny“, niż obraz o powierzchni płótna gruzłowatej. Że więc iluzja przestrzeni malarskiej zależy w jakiejś mierze od faktury? Może więc głębię obrazu należy mierzyć milimetrami warstwy farby malarskiej na powierzchni płótna?

Rzecz jest niepoważna i nie byłbym odpowiadał, sądząc, że dostrzeże to każdy czytelnik. Lecz oto czytamy w „Pokoleniu“ (nr 6) artykuł na temat plastyki, w którym młody autor powołuje się na T. Dobrowolskiego jako na autorytet...

Sprawa „pluralis maiestaticus“. Forma „my“ zamiast „ja“ może mieć znaczenie zwrotu nieosobowego, tak podaje się formuły naukowe np. „Jeśli ciało zanurzymy w wodzie, traci tyle itd.“, co, jeśli chodzi o wyraz stylistyczny, znaczy to samo, jak gdybyśmy (o — tu jest pluralis niemajestaticus) powiedzieli: „Jeśli się ciało zanurzy w wodzie...“ Tak też użył owego „nous“ cytowany przez Dobrowolskiego de Broglie.

Lecz forma „my“ narzuca majestaticzną pompę w takim np. zwrocie, jak zdanie Dobrowolskiego: „Propagujemy zatem realizm“. Kto propaguje, jaka grupa ludzi, ile osób? Jedna: my — ja Dobrowolski.

J. Przyboś

# W PRACOWNIACH PISARZY I UCZONYCH\*)

Jan Berger: Przed wojną ukończyłem pierwszą część obszernej monografii „Poezja światowa w przekładzie Jana Kasprzowicza“. Praca miała pójść do druku w jesieni roku 1939 — nie wiem, czy dziś kto się nią zaopecuje. Wyżyłbym nieopublikowaną puściznę po Kasprzowiczu, którą przechowywało Muzeum miasta Poznania. Ponieważ wszystkie rękopisy kasprzowiczowskie — o ile mi wiadomo — przepadły, praca moja jest jedynym dokumentem, dającym pełny obraz pracy przekładowej naszego poety, niestety tylko jeśli idzie o literaturę niemiecką. Zapiski do innych literatur przepadły. Straciłem też wszystkie, bardzo bogate zapiski do monografii o polskich przekładach „Fausta“ Goethego oraz gotową pracę o nowszym romansie Szwajcarii.

W związku z moją pracą nad Kasprzowiczem wydobylem z jego rękopisów i przygotowałem do druku następujące jego prace:

1) Rozprawkę młodego Kasprzowicza „Robota a twórczość“, pierwszy, bardzo wczesny ślad jego prometeizmu. Odpis rękopisu wraz z moim wstępem przekazałem redakcji księgi pamiątkowej ku uczczeniu profesora Tadeusza Grabowskiego.

2) Rozprawkę o Prusie, wspaniale obrazującą stosunek Kasprzowicza do tego poety.

3) Wyjątki z wykładów uniwersyteckich Kasprzowicza, odnoszących się do literatury angielskiej i Salome w poezji świata. Wybrałem tylko te partie, które

\*) Por. odpowiedź w nr nr 66—92, 94—95 i 105 „Odrodzenia“.

albo były wybitnie samodzielne albo też charakterystyczne dla osoby prelegenta. Chrestomatia ta miała być uzupełnieniem do wydanych przeze mnie w drugim „Roczniku Kasprzowiczowskim“ wykładów o prometeizmie.

4) Przekład „Dymitra Samozwańca“ Schillera. Pierwszy, jedyny zresztą przez Schillera ukończony akt, zawiera wspaniały obraz naszego seimu. Nie drukowany ten przekład należy do najlepszych prac Kasprzowicza. Odpis rękopisu wraz z moim wstępem przekazałem redakcji „Rocznika Kasprzowiczowskiego“, w lecie roku 1939.

5) Przekład schillerowskiego „Don Karlosa“ dotąd nie drukowany, choć niejednokrotnie grany na scenie lwowskiej i krakowskiej. Z wielu dotychczasowych przekładów tego dramatu kasprzowiczowski jest z pewnością najlepszy, przewyższając nawet napuszony przekład Hlakowiczówny. Ponieważ dwa odpisy złożone były w bibliotece teatru lwowskiego, możliwe że dzieło to zachowało się. Reszta wymienionych przeze mnie pozycji jest prawdopodobnie na zawsze stracona, a ta moja krótka wzmianka o nich będzie bodaj jedynym dowodem, że w ogóle istniały.

Wszystkie moje zamieszczone wydawnictwa przepadły. Zaczynam od nowa. Strata poważnych materiałów naukowych zleceńca do dalszej pracy, zwłaszcza gdy zdrowie niewiele rokuję na przyszłość. Wygotowałem kilka drobnych rzeczy, które chyba wnet ukażą się w czasopiśmie przygotowywanej większą pracą na temat obrazu Polaków w hitlerowskiej literaturze Niemiec.

# KORESPONDENCJA

## O ODPOWIEDZIALNOŚĆ ZA SŁOWO W KRZYCY

Do redaktora „Odrodzenia“

Mój wyjazd do Francji nie pozwolił mi śledzić dokładnie naszej prasy literackiej. Tym się tłumaczy opóźnienie, z jakim prostuję poniższą wzmiankę, zamieszczoną w świeżo wydanym zbiorze felietonów literackich Jana Kotta pt. „Po prostu“, a dotyczącą mego, tylekroć już omawianego studium o Leśmianie: „Sandauer — pisze p. Kott — parnasista z upodobaniem, treść utworu chce interpretować historycznie, a w formie pragnie odkryć nieświadome pobudki pisarza. Oto... przykład nieporozumienia...“ itd.

Inkryminowany ustęp mego studium brzmi: „W formie zdradzają się cechy naturalne i niejako mimowolne autora“ Tłumaczenie owej „naturalności“ czy „mimowolności“ przez freudowską podświadomość nazwał już kiedy indziej insynuacją, wynikała ze zgola nie freudowskiej, lecz zupełnie świadomej niechęci zrozumienia mego tekstu. Sprawa przedstawia się znacznie prościej: utrzymuje bez trudu zafalszować to, co mówi, może bez trudu zafalszować to, co mówi czyli treść swej wypowiedzi, to sposób, w jaki to czyni, czyli forma, zawsze go zdradzi.

W cytowanej wzmiance Kott przekreślił moje twierdzenie: nie w treści bowiem, lecz w formie, której niesposób zafalszować, dopatrując się wyrazu prądów historycznych. Treść można wybierać prawie dowolnie: od jutra np. mogą podjąć obronę starożytnego niewolnictwa lub idei Platona; sposób jednak, w jaki będą to czynili, umieścił mnie w czasie i w przestrzeni.

Ponieważ w dyskusji z p. Janem Kottem nie można się obyć bez powoływania na czyjkolwiek autorytet, więc zaznaczam, że twierdzenie identyczne z moim, choć sformułowane niezależnie; wypowiedziała ostatnio znakomita esayistka Claude Magny w dość chyba lewicowej „Poésie“ — w studium o „technice powieści amerykańskiej“, gdzie pisze: „Każda technika artystyczna zawiera w sobie ukrytą filozofię...“

Artur Sandauer (Łódź)

## KALWARIA I ŁĘCZYCA

Do redaktora „Odrodzenia“

Dwa miesiące temu w „Odrodzeniu“ (nr 38) przypomniałem sprawę „stynnego“ obrazu, zawieszzonego w klasztorze OO. Bernardynów w Kalwarii Łęczyckiej, a przedstawiającego mord rytualny, dokonany przez Żydów na nielutnej dziewczynce.

# „SZCZENIAKI“ ROGER-FERDINANDA W POZNANIU



Państwowy Teatr Polski w Poznaniu wystawił sztukę Roger-Ferdinanda „Szczeniaki“ w przekładzie Wrzosa. Na zdjęciu scena z aktu III.

# Z ŻYCIA MUZYCZNEGO W KRAKOWIE

Na koncercie filharmonicznym w dniu 22. XI, uszyliśmy jako gościa Kazimierza Witkomirskiego, rektora Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Łodzi, który — poza akompaniamentem do koncertu Chopina e-moll i Symfonią Chaczaturiana — dyrygował własną transkrypcją Preludium i Fugi Bacha c-moll. Numeru tego niestety nie słyszałem (wskutek niedokładnych informacji odnośnie godziny rozpoczęcia koncertu na afiszu koncertowym). Nowością była Symfonia Armeńska Chaczaturiana, jednego z znacznych współczesnych kompozytorów sowieckich, utwór szeroko rozbudowany, napisany na wielką orkiestrę, interesujący z tego przede wszystkim względem, że w całości oparty na ludowych motywach armeńskich. Wiele z motywów nosi rzeczywiste piętno odległej egzotyki, inne, dostatecznie już spopularyzowane przez dawniejszych kompozytorów rosyjskich „Wielkiej Piątki“, zwłaszcza Rimskiego-Korsakowa i Borodina, i od tego czasu tak rozpowszechnione i podchwyczone nawet przez różnych muzyków minorum gentium, zostały częściowo pod względem swej artystycznej wartości i używalności zdyskredytowane. Z punktu widzenia artystycznego należało by zauważyć, że materiał motywiczny, wprowadzony przez Chaczaturiana do tej Symfonii, jest stanowczo za obfity. Zakłada to niemożność jego dostatecznie surowej selekcji, dość zróżnicowanego opracowania materiału. Stąd pewna niejednolitość Symfonii Chaczaturiana przy równoczesnej monotonii nastrojów i nie-

dość skonsolidowanej konstrukcji. Poszczególne fragmenty motywiczne o bardzo różnej wartości nie zostały tu poddane kontroli intelektu i przetrwano na elementach formy artystycznej. Obok momentów prawdziwie artystycznych (cały fragment wstępny o dużej sile wyrazu i prosto i nie konwencjonalnie pomysłanej harmonizacji), spotykamy inne o takich efektach muzycznych, schematyczna, konwencjonalna, zanadto akcentująca czysto zewnętrzna dynamika. O ile kompozytorowi udało się utrafić odpowiednią nutą harmonizacyjną i instrumentacyjną w ton odnośnego motywu, stwarza efekty, które nie zawiodą. Nieustająco to zbyt rzadkie momenty w tym utworze. Kazimierz Witkomirski trafnie wydobyl akcenty i punkty kulminacyjne Symfonii Chaczaturiana.

Solistką wieczoru była Olga Ilwicka, która odegrała z towarzyszeniem orkiestry Chopina Koncert e-moll. Jako pianistka ma dużą i pewną technikę, ładne uderzenie, choć mało nośne, muzykalność. Co do samej interpretacji, to była ona konwencjonalna i nieco sztuczna a za mało prosta i szczerą. Miało się wrażenie, że pianistka usiłuje wydobyc z kompozycji jakieś nowe momenty, że pragnie być „interesująca“, stąd wiele fałszywych akcentów w interpretacji, frazowaniu, wysuwaniu drugorzędnych momentów na plan pierwszy kosztem istotnych muzycznie.

Placówką, o której zawsze jeszcze za mało się mówi i pisze mimo jej znaczenia społecznego, jest nasza Szkoła Umuzycznienia. Z trzech typów Szkół Umuzycznienia, które powołane zostały do życia dla muzycznego kształcenia laików (typ A: nauka polega wyłącznie tylko na kształceniu słuchu i przygotowaniu do estetycznego przeżywania muzyki; typ B: do zakresu nauki, udzielanej w Szkole typu A, przybywa tu jeszcze nauka gry na fortepianie, traktowana zupełnie specjalnie, nie w kierunku doskonalenia zdolności technicznych i rozwoju samej umiejętności gry, ale jako pomoc w poznawaniu literatury muzycznej, czytaniu utworów literatury muzycznej, czytaniu utworów wyciągów fortepianowych itp.; typ C: tu dopiero przybywa nauka na fortepianie, wyciągów lub nauka śpiewu dla uczniów, którzy nie mają dostatecznego przygotowania do szkół zawodowych, a pragną się kształcić w muzyce), krakowska Szkoła Umuzycznienia reprezentuje typ A i typ C. Eksperymenty prowadzone w dziale A, tj. w zakresie lekcji słuchania muzyki, dają wyniki niezmiernie ciekawe. Poza lekcjami, należącymi do stałego programu nauki dla uczniów Szkoły, organizuje się kilka razy w miesiącu lekcje publiczne, o których pisałem już w zeszłym roku, dostępne dla wszystkich. Szkoła Umuzycznienia wciągnęła do współpracy wiele wybitnych muzykologów, interesujących się zagadnieniami upowszechnienia kultury muzycznej (prof. Kozielski, prof. dr Reiss, mgr Rudziński, nac. Miketta i in.). Ta metoda pracy ma oczywiście dwa różne aspekty; ma swoje dobre i złe strony. Za złe — ale zło konieczne w tym wypadku — należy uznać fakt, że przy zmieniającym się kierownictwie, mniej możliwe jest życie się każdego poszczególnego wykładowcy ze słuchaczami, i że sama technika pracy nie może być wskutek tego jednolita i usprawiona. Ale ważniejsze jest co innego: taka właśnie i tylko taka metoda daje możliwość należytego eksperymentowania, gwarantuje maksimum dynamiki w pracy. Są to bowiem zagadnienia istotnie bardzo trudne, które dadzą się rozwiązać tylko drogą eksperymentu a równocześnie są niestychanie pasjonujące. Okazuje się, że nie ma chyba bardziej wdzięcznego audytoria, jak ci ludzie, przeważnie dorośli, którzy przychodzą tu po to, by się nauczyć słuchać muzyki. Pierwszy czy drugi raz wiodła ich może ciekawość, dziś — zaledwie po roku — przychodzą stale, tłumnie zalegając salę Konserwatorium, żywo interesując się całą pracą, dają najtrafniejsze odpowiedzi i reprezentują jeden wielki krzyk protestu przeciwko tak rozpowszechnionym dawniej uprzedzeniom. Że laika nie można wprowadzić w krąg świadomych procesów przeżywania estetycznego w muzyce.

Stefania Łobaczewska

# PRZEGLĄD SOCJALISTYCZNY

Ukazał się już nowy numer „Przeglądu Socjalistycznego“ 10—11 (12—13) o następującej treści:

- J. Hochfeld: Człowiek epoka
- A. Krygler: Trzy okresy socjalizmu polskiego
- H. Świątkowski: Wielka Rewolucja Październikowa a niepodległość Polski
- K. Krejci: Czechosłowackie święto niepodległości
- M. Nowicki: Zasady współczesnego gospodarstwa mieszkaniowego
- J. Topiński: Struktura handlu państwowego
- K. Piotrowska: Człowiek w Planie Odbudowy Gospodarczej
- M. Rybicki: Uwagi w sprawie stylu życia działaczy politycznych
- J. Beluch-Belomski: Wspomnienie o Hermanie Liebermanie

## KARTKI Z HISTORII SOCJALIZMU

J. Durko: Ignacy Daszyński i niepodległość Polski

Śląska Cieszyńskiego

M. Zawadzka: Kontakty Daszyńskiego z r. D. Kluszyńska: Ignacy Daszyński poseł chem robotniczym zaboru rosyjskiego

J. D.: Zjazd Paryski i powstanie PPS

## NA HORYZONIE

W Polsce — W ZSRR — W Europie — Za morzami

## IDEE — MYŚLI — ZAGADNIENIA

S. Płoski: Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej

M. Anhalt: Początki klasy robotniczej

T. Glowacki: Ludwik Feuerbach

K. Wojciechowski: Metody pracy Organizacji Młodzieży TUR

A. Kwiatkowski: Dwuletni plan gospodarczy Czechosłowacji

H. Groniewski: Fragment teorii planowania

## NA MARGINESIE II ZJAZDU LITERATÓW POLSKICH

L. Bukowiecki: Ekran i scena

Korespondencja — Z życia partii — Notatnik referenta

Cena numeru zł 20.—

Redakcja i Administracja — Warszawa, ul. I. Daszyńskiego (Wiejska) 18